

XXXII OGÓLNOPOLSKI  
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 24 LISTOPADA 2017 R.





ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka  
Rada Miejska w Lęborku  
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego  
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana  
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku  
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie  
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku  
Lęborskie Centrum Kultury „Fregata”

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego  
Samorządu Powiatu Lęborskiego  
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku  
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



**MIECZYŚLAW STRUK**  
**MARSZAŁEK**  
**WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO**

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI  
LĘBORK NEWS.pl  
TVK KANAŁ 6

*Ogród*

*słów ogród zachwaszczony na własny użytek  
zdaniami kwitną równe grządki  
małw i lewkonii*

*21 VII 1963  
Mieczysław Stryjewski*



## JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Daniel Odija

Bożena Ugowska

LAUREACI

*Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego*  
**Agnieszka Marek** (Bielsko-Biała)

W KATEGORII POEZJI:

*I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka*  
**Mariusz Cezary Kosmala** (Legionowo)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku*  
**Zdzisław Drzewiecki** (Biały Bór)

*III nagroda*  
**Andrzej Wołosewicz** (Warszawa)

W KATEGORII PROZY:

*I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego*  
**Michał Mayer** (Warszawa)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego*  
**Marcin Królikowski** (Warszawa)

*III nagroda*  
**Radosław Szagdaj** (Koszalin)

NAGRODY SPECJALNE:

*Burmistrza Miasta Lęborka*  
**Paulina Czajkowska** (Wicko)

*Nagroda im. Józefa Majkowskiego*  
*Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku*  
**Rafał Zięba** (Pabianice)

*Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego*  
**Katarzyna Głowczewska** (Czyczkowy)  
*Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku*  
**Wojciech Myszcz** (Kościerzyna)





NAGRODA GRAND PRIX  
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

AGNIESZKA MAREK

\*\*\*

*wszystko co kocham jest tu*

*mój ból*

*moje myśli o tobie*

M. Stryjewski, z tomiku *Białe panny*

TONACJE

Podobno sen lubi biel – bo jak tu nie wierzyć komuś,  
kto codziennie ogląda w lustrze włosy, które niewinnieją  
z nocy na noc. Próbuję ubarwić to wszystko, więc pościel  
w mocnym odcieniu fuksji i paznokcie o ton ciemniejsze.  
Jeszcze się boisz kolorów. Metodycznie rozkładasz śnieżne  
prześcieradło, usiłując wygładzić zmarszczki, a później  
z wahaniem wślizgujesz się pod kołdrę. Wiem, że nie mogę  
cię dotknąć. Pozostaje leżenie w ciemności, słuchanie ciszy.  
Odbicia tętna tuż pod skórą. Kiedy zamykam oczy, widzę pola  
i szybko umykające chmury, które chciałeś fotografować  
w pewien wtorkowy poranek. Przecież mówiłeś, że sen lubi biel.

*Świat jest najbliższy, gdy dotkniesz  
i nazwiesz rzeczy po imieniu.”*

M. Stryjewski, *W ciemności niewidomych*

## WBREW

Jestem kobietą bez tatuażu i taka pozostanę.

Mężczyźni nie lubią konkurencji, nawet jeśli to tylko tusz –  
wypisane w przyływie endorfin imiona dzieci czy roziskrzone  
skrzydła nieistniejących aniołów. Zamiast tego możesz podziwiać  
Plejady – bo tak się ułożył pieprzyk obok pieprzyka, brązowe konstelacje.  
I kiedy szepczę do ucha, że jesteś jedynym, który nie pieprzy,  
tylko kocha, pozwalam jednocześnie rozdrapywać przeszłość,  
rysować paznokciami pulsujące po wszystkim linie, żłobić terażniejszość.  
Kiedy się ode mnie odkleisz, będziesz mógł dostrzec ulotne dla innych ślady.  
Dla nas niezmywalne.

\*\*\*

*Lśniące szyny  
tęsknią obok  
nigdy razem.*

M. Stryjewski, z tomiku *Białe panny*

## NA ODLEGŁOŚĆ

Podobieństwa – uderzające. Jesteśmy podzieleni  
kilometrami i tak przychodzi nam zasypiać –  
przez większą część wieczorów w roku.  
Niewiele tego, co wspólne. Nawet tęsknota  
może mieć różne smaki, a ty już nawet  
nie ukrywasz niewrażliwości języka.  
Najbardziej lubię lipcowe, ciche noce.  
Idę wtedy w okolice dworca, by dotknąć  
rozgrzanych torów. Policzek przyłożony  
do szyny może wreszcie poczuć ciepło.  
Lekkie wibracje pod skórą  
to jedyna dozwolona bliskość.

*Ptaki wysoko – jak ziarenka żalu –  
wpadają w ręce, w serce, w wiersze.*  
M. Stryjewski, *Drogi*

## ANALOGIE

Przestrzeń właściwie nie ma końca.  
To nic, że jest zaoranym polem, na którym –  
jak intruzi – przycupnęły słupy wysokiego napięcia.  
Drażnią. Nie pasują. A jednak ptaki szybko oswoiły  
nową rzeczywistość (czytaj: druty rozciągnięte z południa  
na północ) – podobnie jak ty mnie.  
Teraz wiem, po co to wszystko. Wystarczy, że uniosę  
wyżej głowę i już je mam: czarne drobinki, jedną obok drugiej.  
Smutne nuty na elektrycznej pięciolinii. I jak tu nie kojarzyć  
z nami. Z dreszczem, który przeszywa, gdy tuż przed odjazdem  
otulasz mnie ostatni raz. Wtedy też zadzieram głowę, by jeszcze  
na chwilę popatrzeć w niebo razem. Zanim odfrunę.

# I NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

## MARIUSZ CEZARY KOSMAŁA

\*\*\*

Co robisz? Robię swoje i nikomu nic  
do tego. Więc bawimy się w zaufanie,  
jak fajni fani, potem ty leżysz na mnie.  
Mówię, świetnie na mnie leżysz, rób swoje i moje

gesty chowają się pod łóżko, na którym  
kochamy się krótko, mówiąc jednym słowem,  
zapadającym głęboko w nie. Pamięć tych chwil  
osiada na języku, układasz mi go w ustach,

twierdząc, że to jedyny słuszny. Wybór języka,  
który płacze się między zębami, to język,  
w którym się ko. Chamy mówią o tym brzydko,

ja, że robimy to ładnie i ze smakiem, ty,  
jakbyś kochała się ze smokiem, między nami  
mówiąc, wciąż nie mogę dojść. Kim jesteś?

\*\*\*

Patrząc na siebie jak na kogoś obecnego  
w lustrze, jak na obcego, który się zapatrzył  
w czyjąś nieznajomą twarz odbitą w kałuży  
cytatów, patrząc na siebie jak na cycatą

dziewczynkę z bezpłatnym dostępem, która  
w oszukiwaniu straconego czasu oraz  
w wyszukiwaniu usprawiedliwień dla czynów  
niepopołnionych zawsze uciekała się do

podstępu, patrząc i nie widząc w tym nic, oprócz  
beki i jechania po hardkorze, ustępów  
i występów na obscenicznej scenie, zarzutów  
i zrzutów ekranu z monitora, którym jest

to lustro, w które patrzysz i płaszczysz się, i nie  
widzisz odbicia, tylko słyszysz płacz od bicia,  
od bycia i niebycia, od topienia smutków  
w utopii kieliszka i od taplania się w go. Ryczy

w tobie to lustro, kaleczy ci język i zło. Rzeczy  
stają się nierzeczywiste, wszystko zamienia  
się w nic, a nic we wszystko, na co patrzysz. I na co  
się patrzysz? Jest lustro, ale nie ma ciebie. Pusto.

\*\*\*

Strzępy Piotrkowskiej opadają we mgle,  
odwrócone kamienice,  
odwrócenie ludzie,  
wszystko, co widzisz, powoli stacza się na dno

oka. Mokry gawron siedzi na krawędzi  
i dziobem robi dziurę w bycie. Być  
albo nie być? – o, to jest pytanie. Lecz trzeba być  
człowiekiem. Na Facebooku wszyscy są.

Byliśmy i my. I była taka noc, magiczna,  
najczulsza na świecie. Ciałem dotyk wędrował,  
pachniał Piotrkowską, i jak księżyc świecił.

Myliśmy usta w kolorowych drinkach,  
jedliśmy, mieliśmy ochotę na, gwiazdy  
spadały z nieba na znak, że to już.

## KTO JEST MĘŻCZYZNĄ (COVER)

mężczyzną jest ten który ma jaja  
i ten który jaj nie ma

mężczyzną jest ten który rzuca mięsem  
i ten który mięso sobie nakłada

mężczyzną jest ten który płacze  
i ten który płakać nie może

mężczyzną jest ten który kochał  
i ten którego nie kochano

mężczyzną jest ten co ma w dupie  
i ten który łyka ściemę

ten który odpadł  
i ten który się przykleił

mężczyzną jest ten który dochodzi  
i ten który dojść już nie może



II NAGRODA  
RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU  
ZDZISŁAW DRZEWIECKI

\*\*\*

Urodziłem się sześć lat po Stalinie, ale jeszcze wielu śpiewy nuciło żałobne i chowało po domach szatańskie pamiątki.

Zrozumiałem prawie wszystko w wieku 16 lat, gdy po raz pierwszy przeczytałem teksty Dylana z płyty *Blood on the Tracks*, mozolnie tłumacząc je ze słownikiem.

Wówczas było mi wszystko jedno, co do mnie mówisz, ojcze.

Wiedziałem, że wszelkie racje w tym życiu są gdzie indziej.

*I love freedom*, poznałem dziewczynę i nagle mogłem fruwać, wzlatywać i patrzeć z góry na małe figurki.

Szachownica nie daje wolności.

Musiałem nauczyć się buntować w każdy możliwy sposób przeciwko martwemu światu. Nikt nie uczył nas *prawd żywych a szkiełko i oko* nie potrafiło wytłumaczyć pytań o gwiazdy zakryte, o coraz dalsze gwiazdy. Patriotyzmu uczyłem się z opowiadań dziadka Rufina. Jego mundur powstańca śląskiego był ikoną, przytłaczał mnie swoją świętością. Niczym Jeździec Apokalipsy. Z numeru na przedramieniu mojej babki czerpałem większą wiedzę o ludziach, niż od boga, do którego nigdy mnie nie zaprowadziłeś.

Skazałeś mnie na samotność. Nienawidziłem twojego świata, oparów wódki, gadających ust i wygrażających pięści. Wówczas zjawił się Dylan i wysuszył mi łyżę strachu, z nim pojawili się inni, cała armia dylanów.

Od tej pory płakałem tylko łzami wzruszenia. Czułem się silny. Szlachetniałem.

W bielszą stronę dni wchodziłem. Coraz rzadziej wykonywałem półobrót.

Za plecami było tylko martwe miasto.

## USTKA 2017. MARTWY SEZON.

Martwy sezon. Charles Bukowski zbiera na promenadzie puste puszki po piwie. Zapętlam się coraz bardziej. Z dnia na dzień gęściej spowity przez girlandy jesieni. Za późno już na różne wolty - rewolty. Cichnę. Jeszcze się nie usuwam. Nie umykam. Kilka tabletek reguluje moje samopoczucie. Skrupulatnie unikam powrotów w okolice dzieciństwa. Martwy sezon. Strony świata porosły mchem. Tajemniczy ogród. Na promenadzie wiatr od morza. Brak muzyki. Brak echa. Strugi deszczu przeganiają jakieś spóźnione wczasowiczki. Martwy sezon. Charles Bukowski moknie przed witryną sklepu z alkoholem. Dzień się zamyka. Podejmuję wyzwanie nocy.

\*\*\*

mój kraj pokryty jest wiecznym śniegiem  
spirytus nie poprawia nam krążenia  
w błękitnej pajęczynie żyłek pod pergaminem skóry  
przechowujemy zakazane piosenki z dzieciństwa  
otulamy w dłoniach latarenki papierosów  
i wydeptujemy ścieżki wysoko w górach  
z dala od wilgotnych kobiet i pociągów które zawczasu wywiozły nasze  
wspomnienia do odległych prowincji  
możemy tu założyć partyzantkę i uprawiać wolną miłość  
herbata rozpościera nad nami ochronny namiot na kilka mroźnych prorocत्व  
nie dosięgają nas latawce nocnych lęków  
trwamy więc w oczekiwaniu w pobliżu kapliczek ciał naszych kobiet  
aż przyjdzie ktoś i wręczy nam szklane paciorki nadziei  
jedyną w której można zamknąć słowo  
ale teraz to już nieważne  
minione  
w białych śniegach zatarte na wieki

## NA PUSTYM DWORCU W Ł.

Noc rozlewa się gęstym fioletem.

Gdzieś znikają światła ostatniego autobusu,

który mógł mnie stąd jeszcze zabrać:

*niebieski trolejbus zabierze mnie stąd, trolejbus ostatni.*

Z otwartych toalet dochodzi odgłos

radioodbiornika i smród niespłukiwanych pisuarów.

Miasto rozprute jak brzuch ryby, wchłania ostatnich wędrowców,

ale ja nie mam tutaj już żadnych tropów, które mógłbym podjąć,

żadnych zahaczeń, zaczepień. Wskazówki dworcowego zegara utknęły

w czasoprzestrzeni. Wklęśła samotność.

Książka pozwala nie zasnąć. W całodobowym barze kelnerka podaje mi

ratunkowe koło kawy. Klisza pamięci przewija się w zwolnionym rytmie.

Czarne słońca wypalają wspomnienia.

Wyjechać stąd przed świtem, zanim wszystko tak kusząco się pootwiera.

### III NAGRODA

# ANDRZEJ WOŁOSEWICZ

## TŁUMACZENIE Z HEIDEGGERA

pięknie już było  
teraz ma być normalnie

musisz nauczyć się  
patrzeć śmierci w twarz

ale to nie jest łatwe  
bo to twarz niewidoczna

nie przeczytasz więc  
nie dojrzysz

grymasu zniecierpliwienia  
ani niczego

twarz niewidoczna  
ale konsekwentna

nic nie umknie  
jej uwadze

a przede wszystkim  
nie umknie to

co cię zajmuje najbardziej  
twoje życie

ucz się patrzeć  
w tę niewidoczną twarz

## POWRÓT EZRY POUNDA DO WENECJI JAKO PROBLEM POETYCKI

O czym myślał Ezra Pound przez pół roku w więzieniu w Pizie?  
Że zbyt łatwo uwierzył Mussoliniemu, że potwornie zblądził?

A może o tym by uciec na skrzydłach *Pieśni pizańskich*  
Albo najlepszych wierszy z tomu *Lustra* które wyprowadzał

Z łacińskiego słowa *lustrum* oznaczającego „ofiara oczyszczalną  
składaną co pięć lat przez cenzorów w starożytnym Rzymie”?

A o czym mógł myśleć przez kolejne czternaście długich lat  
w zakładzie dla umysłowo chorych przestępców w Waszyngtonie

Będąc „chory umysłowo, niezdolny odpowiadać przed sądem”  
Jak głosi oficjalne orzeczenie lekarzy ze szpitala św. Elżbiety?

Czy dlatego właśnie zwariował, że nie umiał zapomnieć?  
Czy zapomniał, skoro po cofnięciu oskarżenia ozdrowiał?

Czy to poezja stawiała trudne pytania jego życiu czy ono poezji  
Gdy wrócił do Wenecji by spocząć na cmentarzu na wyspie San Michele?

## OKNO

kiedyś okna moich wierszy

były oknami na świat  
którego czułem się

Wilhelmem Zdobywcą  
i Sindbadem Żeglarzem w jednym

teraz coraz częściej  
wychodzą

na ślepy mur  
na którym cień mój słabnie

nawet  
w najbardziej słoneczne dni

## WIERSZ NA DESER

wiersze się rodzą w ciszy  
choć są krzykiem słowa

ale krzyczysz je szeptem  
choć szepczesz je głośno

głośny oddech wiersza  
muska delikatnie twarz

delikatnie kątem oka  
chciałbyś go zobaczyć

ale wiersza już nie ma  
niema cisza go zjadła



# I NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

## MICHAŁ MAYER

### JA TO MÓJ WRÓG

1.

Ja ciągle i od nowa. Ja stworzone i niestworzone, czytelne i nieczytelne, własne i obce, a jeśli własne, to obce poprzez tę swojskość, a jeśli obce – to tak bardzo znajome i namacalne. Ja – tym bliższe, im dalsze, tym potulniejsze, im bardziej zbuntowane. Ja pijackie, narkotyczne, lekomańskie, zarzynane i eleganckie. Ja wystawiające sine, spirytualne palce z umierającego mózgu i ja miękkie jak futerko kociaka.

2.

Ja psychoanalityczne i paranoiczne, ja religijne i utopijne, filmowe, literackie, lepkie, śliskie, obłe i złe. Ja w kubie na śmieci i na biurku, w dzień deszczowy i słoneczny, na plaży, na rozgrzanym asfalcie, w butach, w kieszeniach, w dziwnych zakończeniach, w płaczu, który nie ma powodu, w przypadku braku dowodów i w przypadku, gdy dowodów jest w bród.

3.

Ja jako przyjaciel i wróg. Ja jako temat referatu i jako temat filmu. Ja podczas podróży palcem po brudnej barierze i podczas podróży językiem po czystym ciele. Ja w kościele i w galerii. Ja jako świat i wycinek świata. Ja w różowym koniuszku ucha i w kwiatkach.

4.

I tak można by bez końca. Zapętląć się i jednocześnie próbować się z tej pętli uwolnić. Tworzyć teorie i tym teoriom zaprzeczać. Dawać się ponieść rozpaczcy i jednocześnie tą rozpaczą się sycić, być nią szczęśliwym. A jednocześnie zaprzeczać szczęściu, udawać, że nie ma ono żadnego znaczenia.

5.

Podobnie zresztą zaprzeczać istnieniu ja. Rozpraszać je. Stosować się do tego natrętnie i bez wyjątku.

6.

Prześcić wreszcie mówić i pisać w ten sposób, jakby traktowało się siebie jak jakiegoś przedstawiciela arystokracji, który wydaje sobie rozkazy, bo inaczej nie potrafi ze sobą rozmawiać.

7.

Ja to wszystko powiedziałem? Nawet jeśli, to nie o to mi chodziło. Staralem się skupić, ale mi nie szło, bo byłem niewyspany. Byłem niewyspany, bo przez całą noc jechałem pociągiem, właśnie po to, żeby odbyć tę rozmowę. Z tobą. A potem nie potrafiłem dojść do końca żadnej myśli. To jest dość typowa sytuacja: staram się, ale mi nie wychodzi. Wbrew rozsądkowi wsiadłem w ten pociąg, bo myślałem, że będzie jakiś rezultat, to znaczy pozytywny, chciałem nawet powiedzieć, że cię kocham, ale po przyjeździe czułem tylko zmęczenie i rozczarowanie. Na dworcu nie potrafiłem się nawet powstrzymać przed kupieniem papierosów. Potem nie potrafiłem spojrzeć ci w oczy. Wydychałem dym i miałem nadzieję, że przesłoni mi on ciebie. Na nic.

Tak, jakbym wsiadł jeden ja, a wysiadł drugi. Tak jakbym wrzucił monetę, żeby kupić jabłko, ale dostał tylko niezdrowy batonik.

8.

To uczucie, że czeka mnie coś niezdrowego, towarzyszy mi zresztą ciągle. To jest przecucie śmierci. Nie śmieję się. Nie rozumiesz mnie i stąd te wszystkie problemy. Wózek dziecięcy, w którym mnie wożono, był karawanem. Dlatego nigdy nie miałem apetytu: wydawało mi się po prostu, że spożywam truciznę.

9.

Myślisz, że tego chcę, tych kłótni? Gdy każę ci się zamknąć, to mówię tak naprawdę do siebie. Czy myślisz, że nie płaczę, gdy nikt nie widzi? Czy myślisz, że moja skóra nie kurczy się ze strachu? To się nazywa gęsia skórka, ale to nic innego, jak mapa lęku. Tym się różnimy od zwierząt: że mamy świadomość, że wiemy, co nas czeka, że przez wiele, wiele lat szukujemy się na wizytę w rzeźni.

10.

Nie wierzyłem w to nawet, gdy to mówiłem. Odbijało się we mnie coś jak cień. Jakby we mnie istniało odbicie całego świata. Ale to przecież tylko wrażenie. Wrażenie, że żyję. Ja. Coś odbija się we mnie jak cień. Czerń gęsta i ciężka jak wahadło, które uderza w żebra od wewnątrz. We śnie upadam. Ale to tylko pozór, wrażenie. Sen nie istnieje, a ja upadam. Przygniata mnie olbrzymie wahadło, palec czasu.

11.

Poznaliśmy się w listopadzie. Było dość zimno, oboje graliśmy, to oczywiście. Ale każde w inny sposób, jak gdybyśmy próbowali pogodzić reguły z dwóch różnych dyscyplin. Twoje zdenerwowanie ukryte pod uprzejmością z odrobiną uległości, nasycone potulnością, która udaje wolny wybór, dziecinność. Moja sztywność prezentowana jako wiedza, intelekt, poszanowanie praw fizyki i bezwarunkowa moralność.

Ale też usta, dłonie, rozbieranie, chwile zapomnienia. Wszystko w odpowiedniej kolejności, jeśli w ogóle coś takiego istnieje, wszystko w celu, jeśli cel w ogóle istnieje. A przynajmniej zachowane zostały pozory odpowiedniości i celowości, jeśli koncepty te są ułudami, urojeniami tęsknych serc i chuci.

To był wstęp. Potem nastąpiło wiele wspólnych lat. Podczas burzy wiatr złamał konar, który wybił szypkę na stryszku. Pies nie wrócił pewnego ranka i poszliśmy spać bez kolacji, bo nie byliśmy nawet w stanie zaplanować wizyty w sklepie. Kilka razy obejrzeliliśmy „Hamleta”. Widzieliśmy Hamleta, ale w niczym nam to nie pomogło.

12.

Ja na pogrzebie matki. Wprowadzenie do ja. Wprowadzenie do ja zaczęło się naturalnie dużo wcześniej. Karmienie piersią i te sprawy. Na pogrzebie raczej co innego: transformacja. Przepoczwazanie. Zасыpywanie jej i zасыpywanie siebie. Zасыpywanie jej i wygrzebywanie siebie.

W moim śnie wyglądało to właśnie tak: wygrzebywałem się z jej grobu. A ty byłaś dobra, zdjęłaś ze mnie czarne ubranie. Zdjęłaś ze mnie czerń, a niczego więcej nie potrzebowałem. Wtedy – nie. Ponieważ i tak nie potrafiłbym niczego więcej przyjąć. Moje usta były zakneblowane poczuciem winy i strachem, że przywiązanie ma moc. We śnie potrafiłem wygrzebać się z jej grobu, ale w rzeczywistości nie potrafiłbym tego zrobić.

Ale mimo wszystko tworzyłem w myślach synonimy dla słowa dobroć i wyszło mi między innymi: zwierzęcy napęd, chuć, lepkość przypominająca plaster.

13.

Widziałem Hamleta, ale to nie pomogło. Powiedziałem to, jakby chodziło o kogoś z przyszłości, jakiegoś kumpla z podstawówki, który zapodział się gdzieś w odnętach przestrzeni na kilkanaście lat.

Bo tak było. Spotkanie było przypadkowe i serdeczne, ale bezwynikowe. Przypominało to przybicie piątki z dwóch pociągów pędzących w przeciwnych kierunkach. Wymagało precyzji, ale gest sam w sobie był raczej pusty, nadawał się do „Mam talent”, zasługiwał na brawa, ale nikt równie szybko, jak się pojawił.

Widziałem Hamleta, powiedziałem, a ona na to: widziałam Medeę.

14.

Aż w końcu zostałem sam. Na pewien czas. To był czas mnie. Tak mi się wydawało, ale w sumie to była porażka. Śniadanie nie było mną. Czułem obcość, gdy zaglądałem do lodówki lub do szafy. Ubranie to nie byłem ja. Czułem obcość nawet do własnego ciała. Ono nie było tak naprawdę własne. Kiedyś uderzyłem się w twarz. Bałem się to zrobić, bo nie lubię bólu. Ale zrozumiałem, że muszę, że potrzebuję tego.

Później poznałem ją. Nawet nie poznałem, po prostu przychodziła czasami i było mi z nią dobrze. Ona była jakby medytacją medytacji. Ukrywała coś przede mną, ale nie wiedziała, że wiem. Były pojedyncze momenty, że graliśmy w jednej drużynie i miałem wrażenie, że to wystarczy. Ponieważ nic innego nie ma, nic więcej nie da się osiągnąć.

15.

Matka wiele razy widziała Matkę Boską. Mówiła: widziałam ją na łące, był słoneczny dzień. Biło od niej światło, czułam jej dobroć.

Matka widywała również ducha swojego ojca, ale tylko w ciemności.

Wierzyłem w to, gdy miałem pięć lub sześć lat.

Nigdy naprawdę nie byliśmy blisko, choć leżeliśmy nie raz w jednym grobie. Mieliliśmy kota, którego razem głaskaliśmy w ponure jesienne wieczory. On mruczał, a kiedy miał dość, wyciągał pazury i odganiał nas, wymachując łapą.

Matka wiele razy widziała aktorki z seriali, spotykała je wszędzie: na ulicy, w sklepie, w kościele. Kiedyś powiedziała, że w katedrze widziała Alexis z Dynastii.

16.

Ja jest jak lody, które sprzedaje się na gałki: w słoneczne dni wszyscy wychodzą na ulicę, kupują i liżą. Co za życie!

17.

A teraz umieram. Umieram poprzez litery, które są czarne i oznaczają żalobę. Ale jednocześnie żyję, syć się radością kolejnych słów i zdań. Ciebie już dawno nie ma, przynajmniej tutaj. Mógłbym wyobrazić sobie, że to porażka, ale musiałbym się bardzo wysilać. Przez okno widzę, że zapada wieczór i trochę się boję. Ale nauczyłem się odsuwać od siebie zagrożenie. Mówię sobie: to nie ja. To dłonie przeszłości, ręce mojej matki, a także twoje.

Byłaś i jesteś moim wrogiem tak samo, jak ja nim jestem. Ponieważ pragnę być niezniszczalny, a to niemożliwe. Ponieważ nigdy nie zapomnę kota, którego przejechał samochód, a niemożliwe, żebym do niego wrócił. Ponieważ chciałbym się ciągle uśmiechać, a ty przychodzisz do mnie ze swoim smutkiem, ze swoją potrzebą czegoś, co nazywasz miłością.

18.

Spotkałem kogoś i poczułem wściekłość. Jak dobrze mnie to definiuje. Jak to wspaniale przyznać przed samym sobą, że ma się potrzebę wojny. Że wychodzi się z domu głównie, żeby walczyć, zabijać.

Ja to śmierć. Śmierć zadawana światu i samemu sobie. Ja to samobójstwo, to sprzeciw wobec nieświadomości zarówno tygrysa, jak zająca. Ja to budzenie się rano i wytrzeszczanie oczu, szykowanie się do walki.

19.

Spotkałem swoją matkę i poczułem wściekłość. Spotkałem ciebie i poczułem wściekłość. Oszukałaś mnie, powiedziałam do niej. Oszukałaś mnie, powiedziałam do ciebie. Oszukujesz mnie ciągle, wyrzuciłem samemu sobie.

Ukrywaliście przede mną moją chorobę, moją niezdolność do pojęcia cze-gokolwiek. Hołubiliście mnie, gdy zasługiwałem na karę. Ale robiłyśmy to z miłości, mówicie razem. Oszukuję siebie z miłości, mówię do siebie, z sado-masochistycznego uwielbienia. A także dlatego, że nie potrafiłbym znieść prawdy na swój temat.

20.

Oszukiwać się. Wmawiać sobie, że rytuały mają sens. Modlić się, choćby do kamieni, do włosów, do podeszew. Modlić się wyznaniem, że modlitwa jest upokorzeniem. A potem upokarzać się w inny sposób, poprzez brak upokorzenia i udawanie, że przewyciężyło się wszelkie sprzeczności i paradoksy.

Oglądać swój ból i mówić: to nie ja. To nie ból. Oszukiwać się poprzez to oglądanie, tę pornografię.

21.

Ja to pornografia. Świat to pornografia. To podnieca. Chodź. Jest mi smutno, jak aktorowi porno, rozumiesz?

22.

Ona jest dla mnie wszystkim, ale co to właściwie znaczy? Ona jest koniem, który zabiera mnie aż na skraj świata. Ona wszystko pamięta, nawet to, co zdarzyło się pięć lat temu, chociaż pięć lat temu świat nawet jeszcze nie istniał. Ona ścisła coś w dłoniach, co to jest? To wygląda jak śruba, ale chyba to kwiat. Tylko dzięki niemu jeszcze płaczę.

Idziemy razem do miasta i w sklepie kupujemy oranżadę. Wieczorem są czyjeś urodziny, jakaś wizyta, wplątywanie się w cudze dłonie, zapachy, pulsujące zdania rozmów prowadzonych z uprzejmością i wyrachowaniem. Rozmów, które duszą jak koce przeciwpożarowe. Koc gaśniczy szklany – widziałem taki napis w czerwonej gablocie. Ty i ja w tym wszystkim, podczas gdy chciałbym czegoś innego, ale sam nie wiem czego. Boję się myśli. Moje myśli nie są moje i nigdy nie były, rozumiesz. To nie ciebie pytam, ale siebie samego. W myślach.

Boję się choroby psychicznej. Nie bój się śmierci, mówię paranoicznie do siebie. Śróbka w twoich dłoniach, linearność czasu jako reprezentacja szklanego koca.

23.

Potem uciekam i zostaję sam. Ale nie jestem sam. Jestem z tym wszystkim, od czego uciekłem, bo gdzieś w głębi siebie tego właśnie pragnę. Pragnę być jednocześnie sobą i zaprzeczeniem siebie. W mojej głowie pękają neurony lustrzane. Słyszę w duszy trzask odłamków zwalających się na podłogę mojego umysłu. Na dno mojego świata. Pragnę siebie przytulić i rozszarpać jednocześnie. Na moich ustach nie ma już uśmiechu, a jeśli jest to fałszywy. Chciałbym podróżować, słyszysz, rozumiesz? Ile razy to powiedziałem i kiedy. I do kogo.

Do ojca, do ciebie, do samego siebie. Chciałbym dowiedzieć się wszystkiego. Co mi wtedy odpowiedzieliście?

24.

Ty niczego nie rozumiesz. Prześlizgujesz się po powierzchni, tobie się wydaje, że ty sięgasz w głąb, ale ty jesteś bardziej płytki niż my wszyscy. Co w ogóle zbudowałeś w życiu? Ten wałący się gmach z myśli i wyobraźni? Tobie się wydaje, że nas przewyższasz, że jesteś lepszy, że świat cię potrzebuje, że dla świata jesteś zbawcą, ratunkiem. Ale ty jesteś... Czy mam to powiedzieć? Dlaczego chcesz mnie do tego zmusić? Dlaczego zmuszasz mnie, żebym użył tego słowa wobec własnego słowa? (Chciał użyć słowa: pasożyt, jestem tego pewien!).

25.

Pamiętam, gdy to powiedziałeś, ty i ten wyraz twarzy: to uparcie podszyte głupią, niezrozumiałą dumą. Ale to tylko pozór. My wszyscy widzieliśmy też w tobie dobro, które ty sam próbowałeś zlekceważyć i wykpić. Ty chcesz żyć teorią, ale bez przerwy ześlizgujesz się w cielesność. Twoje ciało i moje ciało. Ale nigdy nie mogło ci wystarczyć. Ty chciałeś podróżować w stronę innych, nie zważając na skutki. Zdobycz zawsze pociąga za sobą utratę. Podróż w rytmie techno. To miałam ci do zaofierowania, ale ty naturalnie nie mogłeś tego przyjąć.

Ja byłam tańcem, ty byłeś i jesteś jedynie słuchaczem. Ty i te twoje traktaty na temat wszystkiego. A ja zadawałam się zwykłym pocałunkiem, kwiatami na stole, wyprawą do piekarni po ciepły chleb. Jest tyle chwil, w których można zamieszkać, jeśli się tylko chce. Gdzieś tam na końcu może jest otchłań, ale ja jestem gotowa zamknąć oczy i w końcu w nią wpaść. Wciąż myślę, że mogłoby to być z tobą.

26.

Więc odrzucenie. Więc samotność. Na własne życzenie. Według relacji innych. Te słowa wydobywające się z ust ludzi, których poznałem najlepiej. To przekonanie, że oni nie są w stanie nic mi zaofierować. Nie są w stanie mnie obronić. Ich słowa, ich definicje, ich ciała, ich dusze. Ich. A ja?

27.

Ja jest płynem, w którym trzymacie mnie jak preparat, ja jest formaliną, która konserwuje mnie każdego dnia. Ja jest strzykawką, przez którą wsączają

się we mnie ideologie i znaczenia. Paranoje i urojenia. Oto stoję przed lustrem i widzę siebie, a w sobie widzę was. Oto widzę samotność i samowystarczalność, dwie strony tej samej monety. Oto mam dwie twarze: smutną i uśmiechniętą.

Smutna wyraża doraźność radości, uśmiechnięta drwi z powagi smutku. Oto ja i mój makijaż. Oto makijaż i stworzone przez niego ja.

28.

Wykręcam znów ten numer, słyszę tylko: to tylko paranoja, proszę więcej nie dzwonić!



II NAGRODA  
RADY POWIATU LĘBORSKIEGO  
MARCIN KRÓLIKOWSKI

NIELUDZKA RĘKA MOJEJ BABKI  
(nowela o obrzeżach miasta)

**Nieludzka ręka mojej babki**

*Robi się rzeczy, żeby mogły zniknąć,  
żeby zmizerniał czarny pugilares.  
Maciej Woźniak, Vanishing joint*

I

- Na, żry, na, na, żry.

Karmiła chlebem kaczkę, skórki i piętki walały się po podwórku. Obok studni, drewnianego wychodka, obok sterty kompostu. Obok kapsli od wina i denaturatu.

To w końcu jaka była ta ciotka? Helena Kokoszka czy Kokoszkowa? Rodzina siostra mojej babki, babki ułożonej po pańsku, z wielkomięjskimi manierami, ale skromnej, o dobrym sercu.

- Na, żry, na, na, żry - rozkazywała gadzinie. Tylko babkę karmiła czule, kiedy przywieźli ją ze szpitala Dzieciątka Jezus, z ręką odjętą aż do ramienia. Tylko dla niej była czuła, chociaż czasem potrafiła warknąć jak na zwierzę. Mówiła, że muszą przetrwać. Za wszelką cenę. I pewnego dnia, z tej chciwości życia, prawie unicestwiła całą Kolonię Raków. Ktoś się domyślił, przestraszył, doniósł. Rano Niemcy przyszli rąbać szafy, rwać deski z podłóg w domach. Instynktownie zastawiła balią z gorącym praniem klapę do piwnicy. Wygrażała oficerowi poparzonymi pięściami i nie dała się od niej oderwać. Potem wierzyły, że w kuchni, nad piwnicą, gdzie od powstania w getcie chowała rodzinę Żydów, zdarzył się cud. Babka opowiadała, że do nich też wołała w porę karmienia jak do kaczek - Na, żry, na, na, żry. - Otwierała niewielką klapę w podłodze i sypała chleb.

To jaka była ta ciotka, której nawet najczystszy cud nie przekonał ani do zwierząt, ani do ludzi?

## II

Jeszcze długo po wojnie, do końca lat osiemdziesiątych, ocaleni przysyłali paczki z Izraela. Dowiedziałem się o tym od matki kilka lat temu. Ciotka nie żyła już od dawna. To jaka była ta ciotka, Helena Kokoszka z domu Karaluch? Matka dwóch zdegenerowanych synów, którzy umarli tragicznie, a każdy pod wpływem. Oschły bohater – dzieliła dary dla całej parceli, sobie nie zostawiała nic, nie chciała żadnej wdzięczności. Z poczucia winy?

- Na, żry, na, na, żry – karmiła chlebem kaczki, skórki i piętki walały się po podwórku. Obok popekanej drogi. Obok kapsli od wina i denaturatu. Taki obrazek widzę do dziś, i śmieję się czasem, a czasem płaczę. Widzę jej dorosłe dzieci. Na trawniku leży poplamiona kołdra bez poszwy. Na niej kilka plansz szachowych. Dwóch wujów toczy symultanę z resztą pijanej parceli, nie mają koszul, spodni, leżą w samych majtkach. Wznoszą toasty. Stukają się butelkami z gencjaną i filozoficznie opierają spocone głowy na dłoniach. Trupie główki z etykiet budzą lęk i fascynację. Pitna śmierć półnagich strategów. Jest upał. Poza kołdrą leży rozkraczona kobieta. Śpi wydychając kolorową pianę. Ta piana ma pulsujące źrenice, przypomina skrzek. Stoję i patrzę na szachistów, na rozkraczenie, na pianę. Stoję i czekam, aż z jej ust wyłęgną się tęczowe kijanki. Teraz wiem, że to borygo, płyn do chłodnic.

To jaka była ta ciotka? Nigdy nie dowiedziałem się, kim byli ocaleni. I nie wiem do dziś dlaczego. Usłyszałem jej głos wyraźnie dopiero, kiedy zmarła. Dlaczego dopiero po śmierci słyszymy wyraźnie? I tak zerwała się ostatnia nić z drzewa wiadomości – Jad Waszem.

Sprawiedliwa na Kolonii Raków. Ulica Jantar trzy, mieszkania jeden, właścicielka jedynej piwnicy, której źle zamaskowany wlot przeznaczenie nakryło ogonem.

## III

Być może w czasie kiedy ojciec sadził czeresnię, w czerwcu, po moich urodzinach, jej zasadzono by drzewo życia. Być może, być nie może. Nie mam żadnych śladów, po kilku próbach odszukania kontaktu straciłem nadzieję. Drogi zapętłają się w kraju. Od dawna drepczę nerwowo po własnych śladach. Blok, praca na dawnej ulicy Gęsiej – ciotka też miała gęsi, sklep, cmentarz – zwieńczenie jesieni, jesień zwieńczona cmentarzem. Znam na pamięć także ich ścieżki, do dwóch drewnianych kościołów na Okęciu i na Włochach, których też od dawna nie ma.

Odwiedzają mnie naprzemiennie w ciężkich chwilach. W trakcie przesilenia zwidują się we śnie. Od niedawna potrafię zapisywać świadomie, tuż po przebudzeniu, jedną spójną wersję snu, przestrogi w przedwiośnie.

## IV

### Nieludzka ręka

*Liczyć palce - rzecz okrutna.*

*Łatwa. I ogromnie smutna.*

Mieczysław Czychowski, *Palenie w piecu*

Odwiedza mnie w sadzie, ma obydwie ręce,  
tuli w objęciach, szepcze - będzie boleć,  
nie wrywaj się, lepiej od razu odgryź łapę.  
Widziałam pióra na śniegu, lepką krew na mrozie.  
Daje drugą - nie szarp, lepiej ją od razu odgryź.  
Będzie zimno, będą pękać sosny.

Okrutna ręka gładzi głowę.

Pamiętam, jak w dzieciństwie odkręciłem zawias łokcia  
i wsadziłem piąstkę, żeby sprawdzić, co w niej tak grzechocze,  
mysz skrzypiała w pustym futerale, mysz wgryzła się w piąstkę.  
Lewa, zwinna, cicha, tylko lewa wiązała sznurówkę,  
bez wysiłku, czterema ruchami palców.

Odwiedza mnie w sadzie. Staje pod jedyną sliwą,  
do sukienki lecą pszczoły, obsiadają farbowane kwiaty.  
Strząsa je w skiby gotowe pod zasiew, ziemia otwiera  
mi usta przez sen. W ciepłym sadzie pada śnieg.

Zawsze, kiedy chce mnie ostrzec, porusza snami  
jak kołyską, nieludzka ręka mojej babki  
- proteza, zimny, popękany plastik.

## V

Jaka była ta ciotka, która własnych chłopaków karmiła wołając - Na, żry, na,  
na, żry?

Tylko babkę obejmowała czule w dwudziestym siódmym, po wypadku  
w fabryce. Trzydzieści lat później, kiedy podziemie zastrzeliło gestapowca pod  
Rakowem, dokładnie na granicy z Włochami, Niemcy wyprowadzili całą parcelę  
na peron kolejki EKD, wycelowali karabiny.

A ona wzięła z rzeczy niezbędnych - mokre pranie ze sznurów i dzieci pod

pachę. Ścisnęła je mocno, nie dała uciekać i ocalała. To był pierwszy cud. Cud na peronie kolejki Warszawa Raków. Ocalił ich volksdeutsch Ajzeli wrzeszcząc na oficera:

– Ich mężowie właśnie pracują dla was w fabrykach, a wy chcecie im żony powybijać? Co zrobią, kiedy wrócą z pracy?

To był cud pierwszy. Może dlatego dwa lata później ukryła rodzinę z getta.

## VI

*Zachwiałem się nagle, straciłem równowagę, mówię do siebie, zyskałem wiedzę ważną i chcę ją ocalić, chociaż w życiu wpisana jest strata. Niedobrze ze mną, niedobrze nagle zyskać wiedzę o nieżyjących, mieć więcej metafor niż niezbitych faktów.*

To jaka była ta ciotka – Na, na, na? Gdybym umiał odnaleźć żydowską rodzinę, zapytać jak zapamiętali ten dzień, kiedy w piwnicy wydarzył się cud. Granicą, która ich ocalała było kilka szorstkich desek podłogi. Jak długo po wojnie mieli w uszach szorstki jak piętko razowca zaśpiew ciotki – Na, żry, na, na, żry?

Czy mieli w ogóle.

## VII

Czasami sobie wyobrażam, że nie mam ręki, jak babka. I myślę, za co ją tak los pokarał w wieku siedemnastu lat? Przecież ona nawet muchy. Nawet mszyc nie umiała tępić. Kiedy wlewała trutkę do cynkowego kanistra na oprysk mamrotała w stronę ogrodu dobroduszenie, żeby się wynosiły do sąsiada. Pamiętam, bo paliłem wtedy mrówki lupą dziadka niedowida. Chciałem mu podarować wszystkie z podwórka, ze ścieżki prowadzącej pod szafkę na cukier. Chciałem z nich zrobić klaser. Nazwałem go klaserem snów. Lep na muchy przypominał taśmy z klasera albo klisze z aparatu. Uwielbiałem odrywać je z lepu i kłaść na stole bez skrzydeł, kręciły się wtedy zabawnie, a dziadek klaskał w dłonie i kiwał z uznaniem głową. Wtedy babka szła po pokrzywy i groziła: – Chłopcy, chłopcy, chciałabym znów mieć obydwie ręce, żeby móc was przytrzymać za te kozie łby i złać porządnie. Nie ręka, ale samo słowo „ręka” stwarzało wówczas mój świat.

Czasami sobie wyobrażam, że nie mam ręki. I nie jedzenie, ale szorstki tandem, nieludzka ręka mojej babki i chropawy zaśpiew ciotki – Na, żry, na, na, żry – wytycza granicę, karmi wspomnienia. Mogę tam sobie zgłębiać tajemnice. Otwieram drzwiczki piwnicy i zaglądam w dół. Pytam o historię, o getto. Proszę, żeby w paczkach, które kiedyś przysłała, były zabawki takie jak na filmach Spielberga.

Przysyłają.  
Sny.  
W szarych kopertach.

## VIII

### Zaszczepiny

Szczepiliśmy śliwę w ogrodzie, jedną jedyną śliwę,  
jedną jedyną ręką.

- Natnij i mnie, przed nadgarstkiem,
- prosiłem babkę, uległa.

Przyłożyłem ranę do rozciętej kory,  
gdy babka spuściła nas z oczu, zamieniliśmy się skórami.

Zostałem,  
one poszły dalej.  
Wreszcie owocuje i jestem szczęśliwa.

## IX

Na końcu została proteza, nieludzka ręka mojej babki. Zakopałem ją obok czereśni, którą zasadził dla mnie tata. Dwadzieścia lat wcześniej zakopałem tam psa. Samochód zabił go na moich oczach. Samochód – tak wyglądała pierwsza śmierć i pierwsza strata. W tym miejscu ziemia jest wkleśła. Przymrozek ma tam swoją nieckę. Zamiast trawy rośnie siwa sierść. Tam czai się kolejny sen.

## X

### Proteza

Gumowe palce protezy wycelowane w niebo. Błękit opiera się jeszcze, żeby za chwilę pęknąć. Śniedzieją chmury nad domem, ściska za gardło niemoc. Tej muszli nie da się zamknąć, można pozornie ożywić, wsączyć w rozeschły labirynt, w sieć papilarnych linii, kropelki deszczu jak perły. Ziarenka pereł jak łyzy. Błyszczą brzegi zawiasów, otwarte okno, maj, księżyc – lśniący futerał ręki, lśniący pojemnik na sny, wsuwam dłoń w kiść palców gumowych, cia-

ło zanurza się w śmierci, parafrazuję do dziś szkolny wierszyk – ciało zanurzone w śmierci traci na ciężarze tyle, ile waży wyparta przez nie śmierć.

Nieludzka ręka wita się, żegna, zostawia karteczkę – skrzyp, skrzyp – skrzypi karteczka, otwiera się jedna powieka, otwiera druga jak kwiat, obie rękawem przecieram, co na karteczkach? Był sen. Sen, zwinna jaszczurka. I przysnął sen, ukrył się jeszcze głębiej w snach.

Trzeszczy proteza, pisze testament drewniana ręka. Gumowe palce gną się na wykończeniach paznokci, prawdziwa dłoń babki jest miękka. I zakopałem ją wreszcie obok czereśni (przestała trzeszczeć), którą zasadził dla mnie tata. Dwadzieścia lat wcześniej pochowaliśmy tam psa, tak wyglądała pierwsza śmierć, strata.

W tym miejscu ziemia jest ciemna. Zamiast trawy rośnie siwa sierść. A może tylko szron się tu zbiera. I tak się to wszystko straci, nie warto malować trawy. Straciło się.

- Skrzyp, skrzyp – skrzypi czereśnia. Nie warto się tak przejmować. Nie można ciągle uciekać.

- Pochować, pochować – nie da się przed nią schować.

Ostatni raz patrzyła na mnie wysychającym okiem, nie miała siły zamknąć powiek. Pokorny wzrok sarny, sterylny wzrok błagalny, w sztywnym całunie ciała, wzrok pozaszpitalny, na wąskim łóżku, w ciasnej sali trzymałem jej rękę, tę co została, była chłodna jak ziemia, lekka i pomarszczona – błękitne dorzecza w atlasach

Traciła mnie, wytracała ciepło, wracała do domu z opuszką czarną od biblii, wodziła nim jeszcze w powietrzu, jakby wchodziła po schodach.

W takcie,  
w zaniku,  
w pulsie.

## XI

Zwykła rzecz, w miejscu, gdzie wydarzy się coś przykrego, wschodzi osiwna, zboże srebrne jak tafle luster z dwudrzwiowej szafy. W letnich uprawach pojawiają się kręgi. Labirynt pamięci.

Tak mi mówiły, kiedy byłem dzieckiem. Kiedy miałem dar obserwacji, kiedy umiałem skupić uwagę, wpatrywać się godzinami w bezkresne pola, tuż za

torami kolejki WKD.

Mówiły też, że za polami było miasto, które zostało wypalone jak trawy przed Wielkanocą.

Pamiętam ten dźwięk, kiedy zaraz po wypalaniu spadnie deszcz, słychać jak strzelają z gorąca muszelki ślimaków, ich podręczne domy, tobołki z całym dobytkiem.

Teraz miasto jest nowe, na ramy starego nałożono inne, ale nadal z tamtym symetryczne. Zupełnie jak moja twarz, jedna połowa nieznacznie różni się od drugiej. Symetria twarzy jaką dziedziczymy po przodkach układa się w cykl. Rodzinny album. Jest lato, owocuje sad, odbicia się ujawniają w snach.

## XII

### Odbicia

Siedzę wpatrzony w parujący rosół,  
rosół wpatruje się we mnie  
wielkimi okami przodków.

Talerz wyznacza granicę odbicia.  
Historia sadu przez pryzmat  
mojej osoby, wpisana w rozedrganą twarz.

Jak wiele potrafię jedną ręką.  
Jak dużo już umiem po babce. Skinieniem palca  
wywołuję deszcz, w otwartych dłoniach owocują jabłonie.

Odbicia nie da się zmazać,  
nie da nakarmić wspomnień.

## XIII

Uśmiecham się do wspomnień – Na, żry, na, na, żry.  
Szorstki tandem, nieludzka ręka mojej babki i chropawy zaśpiew ciotki.  
Ich głosy, słowa, mądrości, wszystkie te senne melodie, ich twarze zwidują  
się teraz wyraźnie.  
I znów się pytam, to jaka była ta ciotka?

### III NAGRODA

## RADOSŁAW SZAGDAJ

### ANIOŁ

Zasadniczo to całkiem dobrze mi się żyło. Wszystko było jako tako poukładane, może nie najlepiej, ale było. Praca, sen, koledzy, czasem związki. Chociaż może związki to nie jest najlepszy przykład. No cóż, pewnie mam trudny charakter. A może to one mają trudniejsze charaktery, trudno osądzić. Tak czy siak, moje relacje z płcią przeciwną to nic stałego, a już tym bardziej poukładanego. Problem niestety w tym, że rzeczywistość też ma swoje „zasadniczo” i, że ona musi falować, musi drgać, bo ruch to wszakże podstawa jej istnienia. Także moje zasadniczo z jej zasadniczo nie miało najmniejszych szans. Przychodzi huragan, i zostawia świat zupełnie innym niż go zastał.

Sprzedawałem watę cukrową na jarmarkach i festynach. Może nie jest to dobrze płatna praca marzeń, ale z drugiej strony, robota słodka, szkoły nie trzeba mieć i do tego kobiety, całe tabuny kobiet. W dzisiejszych czasach jest bowiem tak wiele rozwodów, tak wiele związków bez ślubu, że dostępność kobiet na tzw. rynku wtórnym jest przeogromna. Wiadomo, po watę cukrową chodzą dzieci z matkami, wata się robi, bachory czekają, a ja mogę poobserwować. Czy fajna? Jak budowa? Czy ma ten błysk, to coś? Jeśli jest słaba, to damę watę i dziękuję. Jeśli jednak mam zamiar zapolować, to rzucę jakieś miłe słówko, komplemencik, i to wystarczy. Nic więcej na tym etapie nie potrzeba robić. Nic więcej. Samotne matki w większości też są przecież na łowach, ba, one praktycznie non stop są na łowach. A, że oboje polujemy na różne zwierzęta, to już temat na zupełnie inną opowieść. Skoro więc oboje chcemy, to już naprawdę niewiele trzeba do sukcesu, ledwie kroczek. Potem oczywiście są rozczarowania, żale i łzy, emocje, ale trzeba być twardym, jak powiada klasyk, twardym jak Roman Bratny. Nie jestem żadnym przystojniakiem, ot trzydziestoparoletni facet, niezbyt wysoki, łysiejący. Moje użębienie to raczej czas przeszły niż teraźniejszość. Brzuch, podbródek, wszystko w nadmiarze i na swoim miejscu, no wypisz wymaluj Banderas. Mazowiecki Banderas. Banderas wierz b rosochatych, łanów złocistych, wiosek i miasteczek, maleńkich, zapyziałych miasteczek. Ostatni raz kant na spodniach miałem chyba na komunię, a moje koszule lata świetności



dawno mają już za sobą, lata świetlne za sobą. Jednak desperacja tych wszystkich kobiet zdaje się jakby nie widzieć mojej zwyczajności. Ich koncentracja i skupienie na celu są przeogromne. To niesamowite. Kobieta, jeśli czegoś chce to stara się osiągać to wszelkimi dostępnymi środkami, nie odpuszcza tak łatwo, nie rezygnuje. Uczepi się pazurami, zębami, resztką godności, trzyma i walczy. Walczy do końca, nie kalkuluje, czy może warto już się wycofać. Przegrałam i jeśli teraz odpuszczę to zatrzymam jeszcze cokolwiek przy sobie. O nie, to nie kobiety, one wpadają do końca, po czubek głowy, po ostatni koniuszek włosa. A weź i taką odrzuć, spróbuj odrzucić jej zaloty, jej przyzwolenie na zdobywanie. Odrzyj ją z oczekiwań, przekrocz pierwszy krąg i odpuść. To przecież samobójstwo, najczystsze samobójstwo. Nigdy tego nie rób, lepiej już przekrocz krąg drugi i trzeci, jakoś to przeżyjesz, ale nie zostawiaj jej w chwili, gdy otworzyła się przed tobą. Mówią, że nie ma nic gorszego od wzgardzonej kobiety, i mają rację, mędrcy świata zawsze mają rację. Bo kobieta kocha i nienawidzi bez kalkulacji, czerń i biel, żadnych szarości, żadnych. W jej zemście natomiast szarości dominują, cel może jest i czarno-biały, ale droga do niego już nie. Droga to kręta ścieżka, na której tylko ona potrafi się odnaleźć. To doskonały i wyrafinowany plan zemsty. Plan, którego istnienia ofiara nawet się nie domyśla. Finezja kobiet, ta gracia w obmyślaniu sposobu ukarania delikwenta, to poezja, najczystsza poezja wyrachowania. Na szczęście do tej pory udawało mi się jakoś z nimi nie zadzierać zbyt. Nic mi nie wiadomo o dzieciach, czy o niechcianych ciążyach, których jestem powodem. Kontakt z byłymi kobietami nie mam, że tak powiem na świeżo, bo nie wracam raczej jednego roku do tych samych miejscowości, a gdy spotkam którąś w latach następnych to już gniew inny, łagodniejszy jakby. Może to zima łagodzi, może to mróz działa na nie tak jak na aronię, może wydobywa z nich ukryte smaki i one wówczas łagodnieją? Trudno powiedzieć. A może to wpływ wiosny? W każdym razie czas leczy rany i ja to wiem, albo raczej, one to wiedzą.

Tak mijało moje życie od jarmarku do jarmarku, od miasteczka do miasteczka, od przygody do przygody. Po ile wata? Bardzo słodka? Nie, nie bardzo, ja mam taki mniej słodki cukier, kurwa, co to za pytanie. Ma Pan wydać ze stówki? Ot zwykły dzień sprzedawcy waty. Stoję teraz na rynku w jakiejś pipidówie, święto gminy czy czegoś tam. Głowa boli, bo wczoraj było trochę za dużo i trochę za długo, a ja stoję w tym upale z ostatnią butelką wody. Dzieciaki podchodzą, kupują, matek jak na lekarstwo, ale może to i lepiej, bo kac dusi i niezbyt mam ochotę teraz na zaloty. Oby do czwartej, wtedy zwinę kram, napiję się zimnego piwka i walnę gdzieś pod drzewem. Co dalej? Dalej to będzie wieczór i będzie dobrze.

Nagle na rynku pojawia się ONA. Ja pierdołę. Zjawisko. Światło bije w niebo, aż oślepia, no Matka Boska, anioł jakiś. Nogi mi się ugięły i gdyby nie maszyna do waty to pewnie runąłbym na bruk, rozbił głowę i strach pomyśleć, co gorszego mogłoby się stać. Tak jak stałem, z miejsca się zakochałem. Idzie bogini, ale jak ona idzie, nieśpiesznie, wręcz majestatycznie, a każdy jej krok jest idealny, o idealnej długości, w idealnym tempie. Jeżeli kiedykolwiek goście z Sevres poszukiwaliby doskonałego kroku, to proszę bardzo, oto on, wzór dla wszystkich kroków świata. Szpilki stukają o bruk, a ich echo przez długie chwile tłucze się jeszcze po rynku. To jej kołysanie bioder, to falowanie włosów, biustu. Cytując dowódców wojsk desantowych – doskonała linia brzegowa, każde miejsce odpowiednie do ataku. Matko. Kobiety zazwyczaj mają jedną część doskonałą, no dwie, te na zdjęciach to max trzy. Niektóre mają nogi, inne twarz, jeszcze inne biust, ale tutaj była kumulacja, MEGA KUMULACJA, miliard w totka, wszystko perfekt. Jestem pewien, że nawet jej bąki pachną francuskimi perfumami. Ona idzie, a ja mam wrażenie, że cały świat jej się poddaje, cała ta nijaka miejscina. Woda w studni na rynku wrze, drzewa kłaniają się przed nią, a ptaki na niebie układają klucze w najwymyślniejsze wzory. Kto to jest, ja się pytam? Kto to, kurwa, jest? To człowiek czy mara jakaś? Czy ja śnię? Jeśli śnię, to nie chcę się obudzić, chcę po wsze czasy stać przy tej cholernej maszynie i patrzeć jak idzie, nic więcej, tylko patrzeć jak idzie.

Podchodzi do mnie, rozumiecie, do mnie? Chociaż pewnie do waty podchodzi. Ale do waty? Taka laska? Przecież ona pewnie każdą kalorię liczy, każdy gram, gluten-sruten we wszystkim sprawdza i dwa razy się zastanowi, zanim cokolwiek włoży do ust. Wodę pije z kokosa i je jakieś tam kielki, czy inne badziewie. No nic, trzeba się opanować, trzeba zacisnąć pośladki, bo z wrażenia to różnie może być, tic taca do ust wziąć, fartuch obciągnąć i już. Jestem gotów albo tylko wydaje mi się, że jestem gotów.

- Co podać? – pytam, choć pytanie jest wyjątkowo głupie, bo oprócz waty nie sprzedaje przecież niczego innego.

- Watę poproszę, dużą.

Jeżu! Dużą watę, toż to taka ilość kalorii, jaką ona zjada chyba w tydzień. Oszalała? A zamówiła tę watę głosem tak śpiewnym, tak idealnie zbalansowanym, coś jakby szept, ale taki ciut głośniejszy, głębszy. Śpiew słowika przy tym to jedynie skrzekot, kakofonia i tyle. Każde jej słowo powodowało dreszcz, spazm, który wstrząsał ciałem dokładnie tak samo jak gorączka wstrząsała niegdyś Nel w baobabie. Podnieciłem się od samego brzmienia jej głosu. Wcześniej co prawda też się podnieciłem, gdy tak szła przez rynek, ale opanowałem chuć i mówiąc kolokwialnie – poziom Wisły w Wyszogrodzie opadł do bezpiecznego poziomu. Teraz jednak stoi, widać to. No widać! Ratunku! A mogłem kupić

dłuższy fartuch, taki do kolan, nie jakieś gówno do pasa. Chwytam go więc mocno i ciągnę w dół z nadzieją, że rozciągnie się trochę lub choćby wydłuży odrobinę.

- Pięć złotych poproszę. - Zapłaciła.

Jedną ręką robię wate, drugą wciąż obciążam ten pieprzony fartuch, wyglądam pewnie jak jakiś psychol z nerwicą natręctw. W głowie pustka, zero, wiatr hula po pustej czaszce. Normalnie, gdy zagnę parol na jakąś babkę to mam cały arsenał słów, tomy opasłe.

„W Pani rączkach to chyba każdy miękki jak ta watka, a może raczej, wręcz przeciwnie?” i figlarnie puszczam oczko, „Ciekawe co słodsze, ta wata czy Pani usteczka”, „Nie chciałyby Pani tak złapać za patyczek i sobie pokręcić?” i takie tam. Śmichy-chichy, głupotki, żarciki i już, coś zaczyna się dziać. Kamyk wyjęty i lawina rusza. Wieczorem zazwyczaj u niej, kolacja lub nie, czasem samo wino. Z kolacją lepiej, bo nie muszę później martwić się o to, co by tu zjeść. A teraz nic, ledwo pamiętam jak się nazywam, co dopiero zagadać do kogoś takiego.

Gotowe. Drżącą ręką podaję jej gigantyczny kokon z cukrowej waty. Wyciąga do mnie dłoń, najpiękniejszą dłoń, jaką w życiu widziałem. Wypięłgnowaną, gładką, z maleńkimi kwiatkami na pomalowanych paznokciach. Na palcach dwa niezbyt wielkie pierścionki o błyszczących oczkach, obrączki brak. To jest dłoń z alabastru, z marmuru lub czegoś równie pięknego. Nie to co te zwykłe. W takich miejscach, nie widuje się pięknych dłoni często, ba nie widuje się ich praktycznie wcale. Pieniądze podają mi zazwyczaj ręce spracowane lub zwyczajnie zaniedbane, z odrapanym lakierem lub bez niego, a czasem nawet z obgryzionymi paznokciami. Dłonie takich normalnych kobiet, codziennych, kobiet, które nie zwracają już uwagi na tego typu drobiazgi. Chwyta wate. Przez moment oboje trzymany za patyczek, przez chwilę oboje jesteśmy jednością. Złączeni małym, drewnianym kijkiem.

Odrywa kawalki i wkłada sobie do ust, ale jak wkłada. Boże, jak ona wkłada sobie wate do ust. Podniecenie rośnie, co tam fartuch, zaraz chyba ten wózek przewrócę.

Apogeum erotyzmu, Himalaje. Szybko jednak okazuje się jak niewiele wiem o Himalajach, chyba tylko tyle, że słoń i na jajach. Bo teraz rozchyliła lekko usta i delikatnie zlizwała resztki waty z warg. To są dopiero szczyty, no kosmos jakiś. Tętno mam pewnie takie, że skali braknie. Nie wytrzymam, zwyczajnie dłużej nie wytrzymam, zaraz albo pękną mi spodnie, albo małego szlag trafi. Dobrze, że rano było pochmurno i bojąc się chłodu założyłem dzinsy, gdybym założył bawełniane spodenki katastrofa teraz byłaby murowana. Trzymaj się dzinsie, trzymaj się, nie puszczaj. Hold the door, hold the door... Rzucę

się na nią, a co mi tam, rzucę się, nieważne konsekwencje, nie dam rady tak stać i patrzeć. To tortura najgorsza z możliwych, to nieludzkie robić coś takiego drugiemu człowiekowi. Ona jakby o tym wiedziała, jakby każda sekunda mych katuszy sprawiała jej satysfakcję, radość jakąś nieopisaną. Przeciągała w nieskończoność każdy kęs, bawiła się mną tak, jak kociak bawi się kłębkim wełny, z tą tylko różnicą, że mój kłębek zaraz całkowicie się rozsypła.

Wreszcie skończyła. Wyrzuciła patyczek do kosza, ten sam patyczek, który przez moment nas połączył. Wyjmę go ze śmieci, jak pójdziesz, pomyślałem, to relikwia przecież, jedyna pamiątka po naszym spotkaniu. Zaczęła wycierać usta chusteczką, ale na to już nie patrzyłem, to było dla mnie zbyt wiele. Zrób coś, przecież ona zaraz odejdzie, zjadła to i odejdzie, no bo po co miałyby stać przy maszynie z watą cukrową. Myśl chłopie, myśl, twoje nędzne życie od tego zależy. Jesteś jedynym człowiekiem na całej planecie, który umie rozbroić tę bombę, kurwa, jedynym. Jesteś asem, jesteś Tysonem podrywku, wulkanem. Wyrzuca chusteczkę. Odchodzi? Nie!!! Nie odchodzi...

- Podać coś jeszcze? – mówię te słowa i nie wierzę, że je wypowiadam. Podać coś jeszcze? Tak, kurwa kebab jej podaj i lody, idioto. To już koniec. Popatrz sobie tylko jak odchodzi, jak sukienka tańczy na jej pośladkach, jak znikając kołysze biodrami i podchodzi do innego stoiska. Kretynie, co to za tekst, podać coś jeszcze? Tym chcesz poderwać anioła? Tym? Zapomnij.

- Nie, dziękuję, wystarczy.

Odpowiedziała i spojrzała mi prosto w oczy, a spojrzała takim wzrokiem jak jakiś super bohater z komiksu. Dwa niebieskie promienie z jej oczu złapały mnie i żadna siła nie była w stanie tego rozerwać. Taki wzrok może oznaczać tylko jedno. To jedno? Nie wierzę. Patrząc na mnie sięgnęła do torebki, chwilę czegoś w niej szukała. Wreszcie wyjęła notesik i długopis. Ale po co? Niemożliwe. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Zostawi mi swój numer telefonu. Boże, taka kobieta da mi swój numer telefonu. No bo po jaką inną cholere by to wszystko wyciągała. Z nią to będzie inaczej, inaczej niż z tymi poprzednimi, z nią będę się starał. Stanę się lepszym człowiekiem. Zmienię się dla niej, znajdę normalną pracę, przestanę pić. Ustatkuję się.

Dziękuję ci Boże za ten cud. Na kolanach do Częstochowy pójde w podziękowanie, wotum złożę, przed ołtarzem padnę. A może to matka ją dla mnie wymodliła? Pewnie ona, no bo kto inny. Mamusia moja najlepsza, najukochańsza. A taki jestem niedobry dla niej, eh... Synem też zostanę lepszym, obiecuję.

Otwiera notesik, coś w nim zapisuje, wreszcie odrywa kartkę. Serce wali mi jak młot, więźnie w gardle, łydki drżą, pot zalewa wszystko, co tylko zalać może. Paraliż. Sam nie wiem jakim cudem wyciągam dłoń przed siebie, a ona powoli podaje mi karteczkę...

Nagle jeb. Prosto między oczy, obuchem jeb.

Nazywam się tak i tak, jestem inspektorem w Mazowieckim Urzędzie Skarbowym, oddział w Płońsku, oto moja legitymacja. Na Pańskim stoisku stwierdzam brak kasy fiskalnej. Nakładam karę w wysokości pięciuset złotych. Tutaj jest mandat oraz wezwanie do nas, na siedemnastego. Dziękuję bardzo. Do widzenia. Odwraca się i odchodzi.

Światło zgasło. Podniecenie minęło jak ręką odjął. Świat runął w jednej chwili, a serce pękło na milion kawałków. Jakże okrutnie los zadrwił sobie z moich marzeń. Anioł okazał się aniołem śmierci, chudą kostuchą z lodowatym pocałunkiem. Pięć stów, kurwa, pięć stów, masakra. No cóż, zasadniczo to mam przerąbane.

Zaraz. Czy ja myłem ręce przed pracą? Chyba nie. Już mi trochę lepiej.

# NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

## PAULINA CZAJKOWSKA

### MISJA MARS

Po raz pierwszy o misji Mars One Feliks usłyszał, gdy był z tatą u babci. Babcia wtedy jeszcze mieszkała sama, ale rodzice Feliksa musieli do niej przyjeżdżać prawie że codziennie i pomagać w różnych czynnościach, zrobić zakupy, przypilnować, by wzięła swoje lekarstwa. Czasami brali ze sobą Feliksa lub Julka. Żaden z nich nie przepadał za tymi wizytami i często próbowali się z nich wymigiwać; Julkowi udawało się to zdecydowanie częściej, bo był starszy i zawsze znalazł jakąś wymówkę – a to, że musi się przygotować do sprawdzianu, albo ma trening na basenie. Feliksowi było trudniej wymyślić coś, by zostać samemu w domu, więc rodzice często zabierali go na te wizyty u babci.

Babcia nie mieszkała daleko od nich, mimo to Feliks nigdy nie lubił jej odwiedzać i nie pamiętał, żeby kiedykolwiek sam do niej przychodził, albo żeby ona odbierała go z przedszkola, gdy był młodszy. W ogóle Feliks miał wrażenie, że babcia niezbyt lubiła swoje wnuki. Miała raptem ich dwóch, bo tata był jedynakiem, ale pomimo tego Feliks zawsze czuł się bardzo nieswojo w towarzystwie babci. Czasami wydawało mu się, że nawet tata i mama nie lubią wizyt u babci i raz nawet zapytał się, czemu muszą znowu do niej jechać. Tata tylko ciężko westchnął i odparł, że babcia ostatnio dużo choruje i potrzebuje pomocy.

Feliks nie znał się na chorobach. Sam przechodził raptem ospę w pierwszej klasie, no i parę razy był mocniej podziękowany. Ale według niego babcia nie wyglądała na chorą. Zawsze gdy ją odwiedzali, to siedziała u siebie w salonie i oglądała telewizję. Paliła dużo papierosów i w jej pokoju było aż siwo od dymu. Była też bardzo chuda i mama często przywoziła jej obiady z domu. Feliks jednak widział, że babcia nie zawsze je zjadała, bo nieraz mama czy tata kazali mu wynieść śmieci u babci i kosz często był pełen słoików z zupą, albo resztkami jedzenia.

Według Feliksa babcia nie wyglądała na ciężko chorą. No, ale co on mógł się znać na chorobach. Chociaż wtedy, jeszcze zanim babcia się do nich przepro-

wadziła, zdarzały się różne dziwne sytuacje, o których Feliks mgliście pamiętał. Raz zdarzyło się, że babcia nie chciała ich wpuścić do domu. Dzwonili, pukali, krzyczeli, a babcia uparcie twierdziła, że ona ich nie zna i nie pozwoli nikomu obcemu wejść do domu. Po tej sytuacji rodzice Feliksa dorobili w tajemnicy zapasowy komplet kluczy od mieszkania babci. Innym razem babcia nie chciała uparcie połknąć tabletek, które tata jej podał, bo uważała, że on na pewno chce ją otruć. Czasami zdarzało jej się też mylić Feliksa z tatą i zwracała się do niego imieniem taty, opowiadając o jakichś dziwnych rzeczach, o których Feliks nie miał pojęcia.

Któregoś dnia, gdy przyjechał właśnie z tatą do babci po szkole, usłyszał w radiu o misji Mars One. Tata akurat rozmawiał z babcią w pokoju o czymś, a jemu kazał nastawić wodę na herbatę. W kuchni grało radio i akurat leciały wiadomości. Normalnie Feliks nie słuchał wiadomości, bo tam zawsze mówią przecież o różnych nudnych rzeczach, które go nie interesują. Ale nie wiedzieć czemu tym razem wsłuchał się w głos spikera. Mówił on, że niedługo ruszy projekt kolonizacji Marsa. Będą mogli zgłaszać się ludzie z całego świata, którzy chcieliby polecieć na Marsa i zostać tam na zawsze. Póki co trwają jeszcze różne badania, ale za jakiś czas chętni będą mogli przesyłać swoje aplikacje.

Feliks pamiętał, że bardzo zaciekawiała go wtedy ta informacja. Interesował się trochę kosmosem i wiedział, że podróż na Marsa to nie byłaby wcale taka łatwa sprawa. A w dodatku ludzie, którzy tam polecą będą musieli zostać na Czerwonej Planecie na zawsze!

Nie wiedzieć czemu informacja o projekcie Mars One utknęła mu w głowie. Feliks zapominał dużo rzeczy – że ma odkurzyć w swoim pokoju, albo co było zadane, ale te krótkie wiadomości usłyszane w radiu, w jakiś sposób nie wyleciały mu z głowy. Chociaż na dobrą sprawę mogły, bo niedługo po tym w życiu Feliksa zaszło sporo zmian.

Rodzice stwierdzili, że dłużej nie dadzą rady pomagać babci na odległość. Postanowili, że babcia przeprowadzi się do nich. Ani Feliks, ani Julek nie ucieszyli się z tego powodu. Przede wszystkim dlatego, że Feliks musiał odstąpić swój pokój babci i przeprowadzić się do Julka. Poza tym żaden z nich nie przepadał za babcią, a teraz na dodatek mieli ją widywać dzień w dzień! Julek próbował trochę klócić się z rodzicami, ale nic z tego nie wyszło. Feliks musiał od tej pory przenieść się do pokoju starszego brata, a jego własny zajęła babcia.

Swoją drogą babcia również sprawiała wrażenie niezadowolonej z przeprowadzki. Przez pierwsze dni wychodziła z pokoju tylko do łazienki, nie chciała nic jeść i tylko na okrągło paliła papierosy. Bardzo przeszkadzało to mamie Feliksa, że w ich domu śmierdzi ciągle dymem tytoniowym, ale nie mogła przecież zabronić babci palić. Feliksowi było ciężko przyzwyczaić się do wspólnego mieszkania z Julkiem. Julkowi także nie było lekko odstąpić część pokoju młod-

szemu bratu. Zdarzało im się kłócić o rozsypane klocki na podłodze, albo o to, że Julek za długo siedzi wieczorem przed komputerem i Feliks nie może zasnąć. Nikt nie był zadowolony z przeprowadzki babci i Feliks czasami wieczorem myślał o tym, jak to lepiej było, gdy babcia mieszkała sama w swoim starym mieszkaniu.

Z czasem zaczęli się jednak przyzwyczajać do nowej sytuacji. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Babcia zaczęła wychodzić ze swojego pokoju i rozmawiać z rodzicami Feliksa. Dała się namówić na spacer, czy też wizytę u fryzjera. Nadal jednak zdarzało jej się mylić imiona i Feliksa nazywała Julek, a Julka Feliks, albo ich dwóch Piotr – bo tak ma na imię ich tata.

Ale któregoś razu, gdy Feliks wrócił ze szkoły, w domu było okropne zamieszanie. Mama siedziała zapłakana w kuchni razem z jakąś panią policjantką. Feliks nie wiedział, co się dzieje, ale na szczęście był już w domu też Julek. Powiedział mu, że gdy mama wróciła, babci nie było w domu. Została kurtka i buty babci, więc pewnie musiała wyjść boso. A to był już styczeń i na dworze było przecież zimno. Mama zadzwoniła po tatę, a potem na policję i teraz wszyscy szukają babci.

Feliks – który przecież był małym chłopcem – w pierwszej chwili pomyślał, że to nawet dobrze, że babcia sobie poszła. Może postanowiła wrócić do swojego starego mieszkania i znowu mieszkać sama, a Feliks dzięki temu wróci do swojego starego pokoju. Powiedział nawet o tym Julkowi, ale ten tylko odparł:

- Głupi jesteś, czy co? Babcia przecież nie da rady sama mieszkać. Przecież ostatnio mało nie podpaliła domu, bo zapomniała zgasić papierosa.

Babcię udało się jednak znaleźć po kilku godzinach. Rzeczywiście była boso i bez kurtki – kręciła się po parku obok swojego starego mieszkania. Twierdziła, że wyszła tylko do sklepu po papierosy i zgubiła drogę do domu. Dostała po tym strasznego zapalenia oskrzeli i musiała długo leżeć w łóżku. Właściwie po jej wyjściu na dwór i chorobie tak osłabła, że od tej pory leżała już tylko i nawet nie wstawała do łazienki.

Rodzicom było coraz ciężiej, bo teraz trzeba było babci pomagać nawet w takich czynnościach jak jedzeniu czy myciu. Zmieniali się w ciągu dnia, tak żeby zawsze któreś z nich było w domu. Feliks już nawet nie pamiętał, kiedy rodzice mieli czas dla niego i Julka. Wcześniej, zanim babcia do nich przyszła, często jeździli razem w weekendy na wycieczki, albo chodzili do kina. Rodzice lubili grać z nimi wieczorem w gry, albo czytać książki. Teraz mieli na wszystkim coraz mniej czasu, albo byli zwyczajnie zmęczeni.

Babcia nie należała do łatwych we współżyciu osób. Były dni, że pozwalała się grzecznie nakarmić, albo przebrać, ale czasami wrywała się rodzicom, drapała ich, albo rzucała różnymi rzeczami. Często zdarzało się, że budziła wszyst-



kich w nocy głośnym krzykiem. Potrafiła tak krzyczeć przez godzinę i nic nie było w stanie jej uspokoić.

Feliks miał dosyć tej całej sytuacji. Był zły, że babcia musi z nimi mieszkać, że rodzice nie mają dla niego czasu. Wstydził się zapraszać do domu kolegów, bo nie wiedział kiedy babcia znowu zacznie krzyczeć, albo płakać. Chwilami czuł się zupełnie niepotrzebny. Julek złościł się na niego, że mu przeszkadza, a czasami w kłótniach wypominał mu, że Feliks jest, bądź co bądź, w jego pokoju i ma się dostosować do niego, Julka. Rzadko też miał czas, by porozmawiać z rodzicami, bo ci byli coraz bardziej nerwowi i zapracowani.

Najlepiej rozmawiało mu się jednak z Gabrysią, koleżanką z bloku. Nie chodzili razem do jednej klasy, Gabrysia była o rok starsza, ale mieszkali drzwi w drzwi i Gabrysia wiedziała o sytuacji z babcią.

Któregoś razu, gdy był u Gabrysi, jej tata oglądał wieczorem wiadomości w telewizji. I znowu Feliksowi udało się usłyszeć o misji na Marsa. Tym razem podano informację, że ruszyła internetowa rekrutacja kandydatów na wyprawę na Czerwoną Planetę. W swoim podaniu należało m.in. umieścić krótki filmik, na którym argumentuje się, dlaczego właśnie daną osobę powinno się wybrać.

Feliksowi od razu przypomniała się tamta sytuacja mieszkaniu u babci, gdy po raz pierwszy usłyszał o tym projekcie w radiu. Już wtedy pojawiła się u niego myśl, że to byłoby niesamowite doświadczenie polecieć w kosmos. Z tym, że trochę przerażało go, że to miała być podróż z biletem w jedną stronę.

Feliks nie wiedział czemu, ale nie potrafił zapomnieć o możliwości lotu na Marsa. Poszukał w internecie dodatkowych informacji, jak miałyby wyglądać ta wyprawa i pomimo że sporo rzeczy nie zrozumiał, zdecydował się, że chce opuścić Ziemię.

Miał wrażenie, że dzięki temu wszystkim będzie lepiej. Julek będzie mógł znowu sam mieszkać w swoim pokoju, rodzicom ubędzie żmartwień. A on może zostanie sławnym kosmonautą i będą pokazywali go w telewizji.

Opowiedział o swoim pomysle Gabrysi. Ta zastanowiła się przez chwilę, a potem spytała, czy Feliks jako dziecko na pewno będzie mógł wziąć udział w takiej wyprawie. Oboje sprawdzili w internecie, czy dzieci też mogą składać aplikację na misję i niestety okazało się, że tylko dorośli. To nie zraziło jednak Feliksa. Stwierdził, że jeżeli odpowiednio przekonująco uzasadni swoją decyzję, to na pewno go przyjmą.

Razem z Gabrysią postanowili nakręcić wspólnie filmik, który był potrzebny przy składaniu aplikacji. Gabrysia miała nowy telefon, który nagrywał filmiki dobrej jakości, więc umówili, że po szkole pójdą na podwórko i tam nakręcą przemowę Feliksa. Chłopiec przez cały dzień układał w głowie, co powinien powiedzieć komisji, jak powinien uzasadnić swoją decyzję. Z tego powodu był cały dzień nieuważny i pani wstawiła mu nawet minusa do dziennika, za to, że

nie uważa na lekcji. To go jednak nie zmartwiło. Jeśli poleci na Marsa, to minusy w dzienniku przestaną robić na rodzicach jakiegokolwiek wrażenie.

Gdy wrócił ze szkoły, Gabrysia już czekała na podwórku. Poszli na plac zabaw i zdecydowali, że Feliks powinien usiąść na jednej z bujawek, a Gabrysia stanie przed nim z telefonem.

- Gotowy? – spytała się Feliksa, a ten tylko kiwnął głową.

Przez pierwsze sekundy gapił się tylko na telefon i poczuł, że wyleciały mu z głowy wszystkie układane przez cały dzień zdania. Miał sucho w gardle i nie wiedział, co powiedzieć. Gabrysia jednak machnęła ręką, by zaczął cokolwiek mówić i Feliks w końcu się odezwał:

- Nazywam się Feliks i mam dziewięć lat – powiedział do telefonu. – I zgłaszam się na misję Mars One. Interesuję się kosmosem od przedszkola i mam w domu sporo książek z serii „Małego astronauty”. Moimi ulubionym filmami są „Star Wars”. Chciałbym dołączyć do wyprawy na Marsa, bo uważam, że mogę się przydać na tej planecie. – Feliks odetchnął głęboko. – Umieć zrobić jajecznicę i wnosić regularnie śmieci. Potrafię biegać najszybciej z klasy. Od roku chodzę na karate, więc umiałbym się obronić przed kosmitami.

Gabrysia dała mu znać ręką, żeby się śpieszył, bo pomału kończy mu się czas.

- Gdybyście mnie wybrali – ciągnął dalej Feliks. – To myślę, że moi rodzice na pewno by się zgodzili na mój wyjazd. Wiem, że mogą zgłaszać się tylko dorośli, ale uważam, że z dziećmi będzie o wiele zabawniej.

Gabrysia przestała nagrywać i podeszła do Feliksa. Razem obejrzeli nagranie jeszcze raz.

- Wygląda całkiem dobrze – stwierdziła Gabrysia. – Trochę trzęsła mi się ręka, ale myślę, że to nie będzie im przeszkadzać. To co, przyjdiesz do mnie wieczorem i zgramy ten filmik na komputer?

Feliks tylko kiwnął jej głową i poszedł do domu. Dziwnie się czuł. Przez chwilę zaważał się, czy aby na pewno powinien się zgłosić. Przecież jeśli go wybiorą, to głupio będzie się wycofać, stchórzyć. No, ale z drugiej strony wcale nie był taki pewny, czy dałby radę żyć na innej planecie...

W domu była mama. Szykowała coś w kuchni. Tata z Julkiem jeszcze nie wrócili, a babcia leżała jak zawsze w łóżku. Feliks wszedł do kuchni i mama spytała się go, jak było w szkole. Feliks zaczął jej odpowiadać, że dobrze i chciał nawet przyznać się do minusa, którego dostał, ale nagle zadzwonił telefon. Mama odebrała i pokazała Feliksowi, że zaraz dokończą rozmowę. Chłopiec wstał więc i ruszył do łazienki. Po drodze musiał minąć pokój babci. Drzwi były uchylone i Feliks zerknął ostrożnie przez szparę.

Babcia leżała nieruchomo na łóżku, a w tle grało radio. Musiała go jednak usłyszeć, bo nagle jednak spojrzała na niego. Feliks chciał zamknąć drzwi i się

wycofać, ale babcia zawołała go nagle bardzo cichym głosem:

- Piotrusiu...

Feliks wiedział, że babcia myli go z tatą. Przyzwyczaił się już do tego. Nie chciał wchodzić do pokoju, ale babcia patrzyła się jakoś tak dziwnie łagodnie na niego i znowu zawołała go imieniem taty. Stwierdził, że wejdzie ostrożnie i dowie się, co ona chce.

Stanął w bezpiecznej odległości od łóżka i powiedział:

- Cześć babciu.

Babcia dalej się na niego patrzyła. Po chwili jednak wyszeptwała:

- Chce mi się pić, Piotrusiu.

Obok łóżka na stoliku nocnym stał specjalny kubek, z którego babcia piła wodę. Feliks nachylił się i podał babci kubek. Ta piła spokojnie, cały czas patrząc na chłopca. Gdy już skończyła, Feliks wyciągnął rękę, by zabrać od niej kubek, lecz wtem babcia chwyciła go za nadgarstek. Ścisnęła go tak mocno, że kubek upadł mu na pościel.

- Dlaczego wszyscy się na mnie patrzą? – szepnęła przeraźliwie babcia, zdziwiająco mocno trzymając go za rękę. – Dlaczego te oczy na ścianie nigdy nie śpią?

Feliks przestraszył i próbował się wyrwać. Babcia jednak nie puszczała. Feliks zaczął krzyczeć i po krótkiej chwili do pokoju wpadła mama. Babcia od razu puściła Feliksa i opadła na poduszkę. Feliks widział, że zaczęła płakać i coś mamrotać, ale jedyne co był w stanie zrozumieć, to ciągle: „Piotrusiu”.

Feliks stał dalej przestraszony na środku pokoju, a rozzłoszczona mama próbowała wysuszyć mokrą płamę na łóżku. Spytała się Feliksa, co tu się stało, a on nie był w stanie mamie nic odpowiedzieć. Chciał, żeby mama go przytuliła i wyszła z nim na spacer, albo na plac zabaw, wszystko byle nie być w jednym mieszkaniu z babcią i tymi dziwnymi oczami, o których mówiła wcześniej.

Odezwał się w końcu do mamy:

- Mamo, chodźmy razem na dwór...

Ale mama tylko odparła ze złością:

- Myślisz, że i ja nie chciałabym stąd pójść? Ale co niby mam zrobić z babcią? Wiesz, że nie można jej zostawić samej.

Babcia, gdy to usłyszała, zaczęła znowu krzyczeć oraz kopać i machać rękoma, przez co uderzyła mamę niechcący w twarz. Feliks wyszedł po cichu z pokoju i tłumiąc płacz zapukał do Gabrysi. Ta zdziwiła się, bo mieli przecież spotkać się dopiero wieczorem, ale wpuściła Feliksa do siebie.

- Czy możemy już teraz wypełnić zgłoszenie? – spytał się Feliks, pociągając nosem.

- A jesteś na sto procent pewny, że chcesz polecieć na Marsa? – spytała Gabrysia. – Bo wiesz, jednak mi będzie trochę smutno, jeśli cię wybiorą...

Feliks pomyślał o rodzicach i Julku. I o babci i o tym, że wszystkie inne dzieci z jego klasy mogły zaprosić swoich dziadków na Dzień Babci i Dziadka do szkoły, a on nie. O tym, że w nikt nie ma dla niego ostatnio czasu i że czuję się zupełnie niepotrzebny. Popatrzył się na Gabrysię i odparł:

- Tak. Zgłaszam się na misję Mars One.

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO  
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA  
CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU

RAFAŁ ZIĘBA

APOKALIPSA

A może już tu był?  
Mogliśmy tego nawet nie spostrzec.  
Przecież doskonale  
zdawał sobie sprawę kto jest kto.  
Zabrał tych dobrych,  
a nas  
pozostawił na Ziemi,  
w piekle na Ziemi  
po prostu pozostawił  
w piekle.  
Po co mu zawracanie głowy:  
sądzenie, gadanie, biadanie,  
cały ten cyrk z widłami i ogniem?  
Nasze wielowiekowe doświadczenie,  
nie przejawiana nigdzie  
w takim stopniu inwencja  
i głębokie przekonanie o racji  
swoich mniemań i postępów...  
Przecież lepiej pozostawić sprawy  
w rękach prawdziwych fachowców.

## ILUMINACJA

Ἡ τοι μὲν πρότιστα Χάος γένετ'  
(Hesiod, *Theogonia*, w. 116)

A już się zdawało, że wiem,  
co chcę powiedzieć; tymczasem było to  
powidokiem myśli, migawką wyobraźni,  
która na chwilę tylko odsłania  
właściwy obraz świata  
by w tej samej sekundzie  
buchnąć w oczy osłepiającym blaskiem.  
Jedyny widok, jaki pozostaje, to plamy:  
płyną z wolna lub wirują  
w rytm cichego dźwięku  
upadku chwilowego Kosmosu:  
ładu, prostoty i prawdy.  
Oto jak się kończy krótki seans poznania,  
próby przeniknięcia natury bytu:  
niewypowiedziane słowa drażnią krtań  
więc wypływam je  
niedojrzałe, nienasycone treścią,  
zawstydzony, zmieszany.  
I jest mi żal: i siebie,  
i tych słów, że takie niedoskonałe,  
i całego świata,  
że przeze mnie znów przybyło  
odrobinę chaosu.

## TO CO NAJWAŻNIEJSZE

Tu nie chodziło, jak się zdaje,  
o samą ilość cierpienia  
(o ile w ogóle istnieje jakaś skala,  
którą można je obiektywnie zmierzyć).  
Zastosowano wobec Niego  
(jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli)  
standardowe procedury:  
biczowanie – samo w sobie  
było formą kary śmierci;  
ukrzyżowanie – tysiące (setki-, tysiące tysięcy!)  
doświadczyło tego w epoce Rzymu  
(czasem, gdy już wisieli,  
łamano im golenie specjalnym młotem).

To, co w tej historii najważniejsze  
było czymś innym – działo się  
pomimo Jego cierpienia  
(choć było ono najwyraźniej niezbędne)  
a także pomimo cierpienia  
wszystkich Jemu bliskich  
(choć i ono było niezbędne również).  
Nawet dzisiaj trudno powiedzieć,  
co to było? Od wieków  
element tajemnicy wciąż pozostaje  
naszym udziałem.

To, co najważniejsze narodziło się  
z Jego śmiercią i trwa do dzisiaj.  
Wieczne Zmartwychwstanie,  
wieczny powrót Łaski.

\*\*\*

Jakoś głupio wyszło z tą współczesnością.  
Słyszemy: „teatr współczesny”,  
„współczesna sztuka” i „filozofia”  
i od razu wiadomo, że chodzi  
o sztukę, teatr i filozofię XX wieku.  
ówcześni – jak się zdaje – myśleli o sobie,  
że będą żyć wiecznie; i wiecznie będą żyć ich dzieła.  
Z mieszaniną satysfakcji i żalu patrzę  
jak współczesność na wieki  
zmienia się w zamierzchłą przeszłość:  
nawóz dla przyszłych pokoleń  
albo proch zalegający blat i przyrzady  
Odwiecznego Laboratorium.  
Silne dmuchnięcie, trochę kaszlu.  
Cholera! Bluza i spodnie – wszystko do prania.  
Pozostaną ci, co świadomi własnej znikomości  
nakierowani są na wieczność;  
dla których współczesność to tylko poczekalnia,  
stacja przesiadkowa  
z pamięci do niepamięci.



NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA  
KASZUBSKO-POMORSKIEGO

KATARZYNA GŁÓWCZEWSKA

MÔLI PÔCERZ

nôpierwi zacinô sã  
kropienim solë  
gbùrszima remionama,  
rzucanim na sano  
kropelków  
biôli  
swiãcony wòdë

to je czasã mój  
môli codniowi pôcerz

i nie do ùwierzeniô  
że jaż tak mòżna

w malinczim pôcerzu  
nick nie przeszkôdzô  
ani brak słowów  
ani niecierplëwë gwizdanié serca  
a tej gôdanié mëslów

môli pôcerz  
òdmówiô sã  
przë cãżczy robòce  
czej człowiek dopiérze robi sã  
mòkri i czôrny  
nick wiãcy ni mùszi  
a to je prawie tãli  
co bëc mô

\* \* \*

rãce  
mają pòchã žécégò

a nié?

robòta zamikò sã  
i òtmikò  
na rãkach  
codniowò  
zbierò piòszi, piche  
pòchë lëftu

czej sã jich dotkniesz  
ju przeńdziesz pòchã

\* \* \*

Płom na rãce  
dówóm Tobie na wdôr  
zamknij gò na sztót  
òdemknij przed drëdzima  
zarobiałima rãkama

w gùbach lewi rãczy  
nen malińczy płom remùsowi  
wewidnij przed pòstãpnëch òczama  
pòòstałosc w cemnicë zamknij

na prawã stronã zazdrzony  
z rãczy òddôwôj swòją starã  
nimòce pòwiédz na procëm

zòs wid trzim jesz...

czej górë sã zapòdnã  
nie òdińdze òd ce  
Mòc wiòlgò  
trzim jã

pamiãtòj, że...  
nié dlò se

## SWIĄTNICA

Dodomie  
co jes swiātnicā cēchòscë  
tak cēchā  
że jaż bùczi w ni  
lëdzczé bëcé

swiātnico łzów i ùsmiéchów  
jesz nieòpisónëch

swiātnico codniowòscë  
zatacony w robòce  
zjedzóny wieczere  
zamkniācym ùmāczonëch òczów

Dodomie  
jes swiātnicā mòją  
do jaczi nie lëdóm  
wchòdzëc bótama

# NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

## WOJCIECH MYSZK

### SWIAT W CĚCHÒSCĚ ÛZDRZONY...

Szëmiało mòrze. Bëło snôzô jak wiedno.

W tim czasie dzëwczã sã tam nalazło. Mógłbë nawetka rzeknąc, że jak wiedno. Le dzén bël czësto jinszi, apartniëszzi. Stało sã to, na co wszëtcë żdele – swiat sã strzëmôł. Nie chcôł dali nëkac, bô ju tegò nie brëkòwôł. Nijak nié. Tej stojôł. Dzëwczã szło sztrądã, mësła, że mòże to je nen czas. I stało sã tej tak jakbë to bëc mùszalo. Czësto krótkò ni leżala mùszla. Dzywno ji bëło, że takò mùszla lezi na sztrądze, bô wiedno chto bë mùszôł miec ją wżatł. A tu nié, leża òna na westrzódkù. Mòrze bëło czësto sztël, jakbë jakòs krëjamnota sã rodzëła, jakbë w ti krëjamnoce cos sã stac miało. Nicht bë tej ni miôł pòmëszeniô, że mùszla chce co pòwiedzec. Dzëwczã sã ùdzibnãło, chwëcało w rãce swój dobëtk, chtëren mòże i nawetka bël jaczims darënkã. Òd mòrza. Przëtkła tej ją do ùcha. Nick sã taczëgò tej nie stało, co bëlobë dzywné. Le mëwë krzikałë, szëkajacë swójëgò jestkù. Ùsmiëwk dzëwczãca przëgasli bël terô. Swiat dali wprzódk pònëkôł, z nią, bez ni, nijak sã za nią nie czerowôł. Tak stojacë, lizë kùlalë sã pò ji skarni. Doch to bòlało. Tak swiat wiedno bòli, czej sã w dësze òdbijô. Wezdrza jesz rôz na tã mùszlã i jesz rôz przëtknã ją do swójëgò ùcha. Na zòczatkù nick sã czëc nie dało, le wnetka zaszëmiało. Tak czësto prosto, jak to mòrze szëmi. Le w nym szëmienim czëc sã dało głos. A mòże to i sã zdôwało. Òdłożëła ją. I zôs bëło tak cëchò. Le nie dało ji to pòkù. Jesz rôz mùszla bëła przëtklô do ùcha. I zôs bël nen sóm głos. Wërazny dosc i czësti. Wòlôł, a mòże nawetka spiëwôł. Piesniô szła kòmùdnô, le wërazno melodiô. Nóta bez słowa. Rodzëło sã zëcë. Swiat nowi, òdkrëti – Nie bądzesz.

- Ana, Ana! - bëłë ju czësto krótkò. Czas nëkôł. Chùtkò sã wżã, wëkòpã kùla w piòskù i przësëpa ją rãką.

- Ana, pòj dodóm – rzekł Ādris. - Czemu tu tak stojisz? - òbjął ją cepłò, swójim grëbim remieniã. - Doch ni mùszisz...

- Wiém, ni mùszã...

- Tej pùdzemë dodóm, co?

- Jo, pùdzemë – òdrzekła.

Zdżinãlë w lese, tam dalek wësok w górã.

Na plażë cos cëchò klepało w piòskù. Jaczës wòłanië... szło wkół... cëché...

...Noc rodzëła swòją mòc. Tak bëło wiedno, tak i bëło tej, czej swiat miòł ùczëc ò ni jesz rôz. Letkò je zëc i wzërac na redotã, letkò je ją ùchwëcëc i bëc w ni. Le czej dżinie to, co je wiòldzé i pëszné, rodzy sã cos, co je mòlé, nic-kwòrtné, le równak tëli mòcnë, że rozmieje biòtkòwac sã jak stolëm, czej je rozgòrzony. Tak to ju je...

Rozgòrzony stolëm nëkòł, rwòł co bëło do ùrwaniò, chwòtòł, co bëło do ùchweceniò. Nick nie òstòwiòł, źlë jegò mòc mia mù bëc wzãtò tej mùszòł roz-szalałi nëkac wprzòdk, nie zdżacë nijak za tim, co bëło, za tim, co wiòldzé... Òn w ti swòji wiòlgòscë bëł taczi mòli, taczi jaczis niedowarzony, le wszëtkò co z niogò miało miec ùszlë, to w nim rodzëło, to w nim bùgrowało.

- Witòjże - rzekł Grunst.

- Witòj - cëchò wëcedzył Arden.

To bëło jich przëwitanië. Jeden ò drëdżim mësłzłòł to, co chcòł mësłzëc. Jeden ò drëdżim niżòdny starë ni mòł i gwës chcec nigdë nie chcòł. Le skòzóny na se bëlë. Cëż bëło zrobic? Zdrzelë na se ùspionyma òczama, naszlima dòką z nocë jesz pòstała. Naczinał sã dzëń. Pòstãpny w jejich zëcym. Dzëń szëkbë, abò spikù. Tak bëc mùszało, tak bëło wiedno. Słùnce wstòwało, òni tész. Słùnce swiecëło wësok na niebie - zabierelë sã do spikù zòs, bò ùmòrdowóny ju bëlë nym ceplã i dosc jima ju gò bëło. Le niżòden nie chcòł lëgnac pierszi, miòł strach co sã z nim stònie, czej drëdżi kòł niogò jesz warowac bãdze. Tak mògòł i bëc nawetka dobrã gòdżenã. Jaz kùreszce Arden òdszedł kask dali gòdajacë, jakbë tak richtich to nie wiedzòł, czë chce to pòwiedzec, czë mòże i nie:

- Jò jidã tam dali, òbaczcëc mòże cos sã òd wczorã zmienilo.

- Tej jidzë, le pamiãtòj, że i jò tam wczora bëł. Tëj ni mùszisz miec pòmëszeniò, że cos sã tam zmienilo. - Tak cos widzec bëło dlò Grunsta czësto czims nowim. Le równak sã strzimòł i dalek nick nie rzekł.

Pòd lòskã stajała mòłò chëcz. Bëła drzewianò, cało z balków. W chëczce bëł widk. Mòli, żòrotny, cepli, mileczny. Za òknã robiło sã smroczo. Swiat bënë dówòł ceplò, dalek je bëło widzec, le dżinało westrzòd nocnegò zarò szëmarzeniò. Czejbë zdrzòł tak dalek na sztòłt ny chëczczy móglbë miec pòmëszenië, że to jaczis ògniszczë jesz sã zòli swòja mòłą mòcã chcacë dac swiat wid. Równak za scanama czëc sã dało spiëw. Spiëw dzëwczãca to bëł. Spiëw żòrotny, teszny, le równak, czejbë chto gò ùczuł redosc bë w nim wiòlgò sã narodzëła. Taczëgò spiëwù kòzden bëł ju tak wëprãgli, kòzden sercem bë gò chcał achtnac i przëjac do se, i razã z nim spiëwac. Tak bëło w ny chëczce kòzdzã noc... Swiat zamikòł

swòje òczë, ju nie wzéròł za widkã chëczczy. Słùnce spac sã kładło... Jesz róz ti nocë...

- Ni mùszałabë të ju jic spac, Rózkò? - rzekła mëmka cëchò.

- Jo, jo mëmkò tak bë mùszòł zrobic. Doch noc jidze, le mie wiedno tak teszno je, czej òna przëchòdò, a tatka jesz ni ma. - Słowa dzëwczãca nëkalë pò jizbie, jak melodiò wałów letkò nanëkónëch bez wiater na mòrzu... - Jò zarò pùdã.

- Je to ale cepło dzysò. Jò so mëszłała, że sã zarò wëkãpia, bez wchòdzeniò do jezora. Tak òd samégò stojeniò mie tak cepło sã robiło.

- Mëmkò, a mëszlice, że tatk przinëdze?

- Jo, jo... Mëszlã, że przinëdze. Doch wiedno przëchòdòł, chòc to ju je terò dosc pòzdno. Le jidzkéj spac, jò jesz kask tu pòsedzã.

- Tej jò z mëmkã jesz tész posedzã, co?

- Dobrze, Rózkò, tej chcëmë jesz sedzec. - Mëmka równak rôd bëła, że nie mdze sama w tim czasie. Doch wiedno w samòtnoscë mëslë cemnë nëkają tak krótkò, chcącë tak òbjac swòjim napitim brzëchã trëcëznã i letkò jidze sã jich tész òpic. - Tej òstani jesz sztót, Rózkò. Òstani.

Naczãłë tej spiëwac razã notã ùtesznieniò, chtërna wëlecała z chëczë prosto na jezoro, jegò wiòlgòsc, bë dotrzec mòże i do tatka, chtëren gwës terò dodóm chùtkò nëkòł. Mòże i tak bëło, mòże i miòł òn zarò dojachac. Tak to ju tej bëło tą nocã. Tatk równak dodóm nie wrócył...

Arden szedł dali, wcyg co jaczis czas wzërajacë za Grunsta. Ten czësto ùdówòł zòs, że za nim nijak nie zdrzi, że czësto cos jinszégò mò w głowie. Le tak do kuńca, to zarò bëło widzec, że ò czim jinszim czësto mëszli. Arden szedł cali czas prosto na tą wësokã grzãpã pòd lasã, mëszlãcë so, że zaro so pòd nią legnie i spac mdze do wieczora. I tak bëło jak so ùmëszlił, czej do ni do-przëszedł to sã zwałił głuchò na zemiã, le to jaż tak zarumòtało, jakbë kamienie z górë na dól chtos miòł zrzuconé, tak to zarumòtało. Grunst widzacë, że jegò drëch zdzinał mëszlòł sobie, że terò to bë bël nòlepszì czas... Tej szedł cëchò za nim, jezlë mòże gòdac, że stolëm jidzë cëchò. Le szedł, dali szëkajacë, dzeż òn tak richtich lòzł. Tej gò nalòzł leżacë, wzał w rãkã kamiën, le na to zdòł le Arden. Òdemkł òczë, wstòł chùtkò i rëczãcë nëkòł prosto, chcącë dostac w rãce tegò, co prawie chcòł z tegò swiata ùsënac.

Biòtka bë mòże i jesz dlugò dérowała, czejbë nie to, że przed òczama pòkòza sã dzywnò mòłò pòstacëjò, czegòs co òni donëchczòs nie widzelë. Szło to prosto na nich, jakbë niczégò ni miało strach. Tak czësto prosto wprzódk, na nich.

- Widzòł to Të? - rzeknął, stojacë z kamieniã w pòlcach Grunst.

- Joo... - òdpówiedzòł mù zadzëwówóny Arden. - To je cos taczégò, co

jô czedës ju chùtni miôł widzóné... - wezdrzôł na Grunsta, chtëren sydrowôł w nien swòjima òczama, jakbë bël pò prôwdze baro tim zadzëwówóny - ... jô chcôł pòwiedzec, że miôł to widzóné we spikù.

- Jo, chòba srikù... Të le bë spòł, to ji nie wiész, czej sã dzén zaczinô, a czej kuńczci. Czej co je, a czej cë sã zdówô, że je. - Grunst widzec bël baro rozgòrzony na Ardena, mòże nôbarzi tim, że òn sã òbùdzył, czej spac jesz miôł.

- A mòże të je co lepsi, co? A za czim të za mną lóžł miast sã légnąc??? Doch tak lubisz spac, co? - wërazno rozgòrzony Arden bël terô.

I tak stojelë naprocëm se i zôs skrë gòrzu nëkałë z jich òczu, jakbë so je chcelë wërwać, znikwic. Chwëcele sã i zaczãłë sã òbkładac. Jeden drëdzégò. W nym czasie môłë stwòrzenié mùszało dzes zdżinac, bò jak jima przeszło zaczãłë za nim wëzërac, bë gò dostac, a co jegò nie bëło, to nie bëło.

Chłop szedł so bez las wiesoło, doch wiedzôł, że mùsi jic cos złapac do jestkù. Tam gwës co bãdze, cos czegò jesz tuwò nie bëło. Doma sedzałë kòbiëtë i ò mùszôł jima co halac. Tak to ju bëło w tim swiece. Dzywno le mù bëło, że taczci trzòsk sã zrobił wkòł, skòrno jesz sztót chùtni nijak taczégò nie bëło. Le co miôł zrobic. Mùszôł jic. Szedł prosto na tą wësoką rzmã, co tam wiedzno bëła przed lasã. Szedł, czej narôž stanął. Òczë miôł òdemklë, przed nim stojalë... tak cos, òn le czuł, że tak cos bëło, le żebë terô, żebë prawie jemù sã przëtrafiëło... Dwa stolëmë, wësocze piãc razë jak ta grzãpã, włosë òpòdałë z nich do pasa, kòzden miôł rãce jak wóz wiòldzë, òczë taczë mòdrë i të krzëwë zãbë... chłop stojôł i rëszëc sã miôł strach... to nie bëło mòzłëwë, nijak nié... a równak.

Trzòsk szedł òd nich, mùszało sã pò prôwdze co stac, bò widzec bëło, że bëłë baro pòwadzony na se. Cos jima nie szło, naczãłë jeden na drëdzégò rëczec, że to le grochòtało pò niebie, tak to hòlowało... że nie szło tegò słëchac. Narôž przestelë zdrzec na siebie i zaczãłë wzërac prosto w niégò, prosto w nógò môłégò chłopa, chtëren jima sã tu nadkrãcył, jakbë nie wiedzącë za czim, tak so tu do nich przëszedł.

- Terô je ju pò mie - mészôł so w głowie chłop. - Ju mie tu dżëzi nie mdze na ti zemi. Wszëtëkò przepadło, wszëtëkò. Doch to mie zežre zarô, jeden z drëdzim i nicht na swiece nie mdze ò tim wiedzôł, taak to sã skuńczci.

Rãce mù dërgòtalë, serce bùfsało tak mòckò, że nijak nie szło gò zatrzymac. Smierc szła do niégò, chòc jesz ji nie chcôł, jesz nie bëło na nią czas. Jesz doch bëło tëli do zrobieniô, jesz còrka do wëchòwaniô. Tëli redoscë, co jegò biãłka mògła òd niégò ùdostac. I tak zdżinac, przepadnac, dali nie bëc. Tak miało sã terô skuńczëc to jegò žëcé... Tak czësto prosto.

Le stolëmë narôž naczãłë zôs sã za sobã czerowac, a na niégò nie zdrzałë, jakbë zdżinał, jakbë jima òn do nicze nie bël brëkówny. Co to bë mògło bëc? Mòże sã zaczãłë sztridowac, chto gò zežre. Narôž ùzdrzôł jak jednégò cãžkò



rãka nêkô w lëfce i lecy prosto w głowã tegò drëdzégò, jaz òn so sòdł tak to mù spasowało. Le długò nie dérało i òn wstòł z taczim gòrzã, że czejbë chłop bël naprocëm jegò, bël bë gò piãc métrów w zemiã miòł wgnietłé. Le chłop za tim dlëzi nie zdòł. Úcékac téz ni miòł dze, bò doch jak te dwa cërzónë sã ò nim przëbòczą, to gò chùtkò naléżã. Doch do lasu bëło pól gòdzënë drodżi. Ni miòł nick do straceniò nêkòł jak le chùtkò mógl prosto na nich. Jesz sztót, jesz jeden. Nad nim szòlałë ne dwie pòstacëje. Złapóné bëłë wpól, jakbë sã nijak nie chcałë rozerwac, le nodzi jima tuńcowałë, a òn prawie midzë nyma nogama chcòł nalézc swòjã wòlnotã, prziińdotã i... zëcé. Údzibnał sã i dostòł z wiòldzégò pòlca, zwrócył sã, le chùtkò wstòł i drawòwòł prosto na nã grzãpã. Wiedzòł, że tam je jòma, dosc glãbòk, zëbë i dzesãc lëdzy mògło sã ùtacëc. I tam prawie chcòł sã dostac. To bëła ta jegò jedurnò nõdzaja. Le sã jesz tłuczëta, le jesz sztót. Dało sã...

- Wrrraaagh!!! Dze òn je? - riknał Grunst. - Dze je?!!

- Doch tuwò bëł... - Arden bël czësto baf - doch chòba nie pòlécòł?

- Szëkòj za nim! - Grunst bël taczi rozgòrzony, nie bëło wiedzec, czë na Ardena, czë na siebie, czë na to mòli, co tuwò przed sztótã bëło. Ale chłopa ju nie bëło, jakbë sã pòd zemiã zapòdł. Jegò tuwò nie bëło.

- A mòże to mie sã cos zdòwało, jò miòł taczé pòmészlenié jakbë jò cos taczégò mòlégò tuwò miòł widzóné terò. - Zaczãł cos nerwës Arden gòdac do se, zdrzacë kòl tegò spòd szadégò łepa w czerënkù Grunsta.

- Cëz të tu pleszczesz?!! - Grunst ni mógl prziińc do se, tak mù to cãżkò bëło. Doch widzòł cos, co mógl miec, a terò tegò tu ni ma... - Z tobã co zrobic, nick nie jidze... - z tima słowama rznãł sã na zemiã, jakbë to jaczé cãżczé kamiénie z gòrë na dól szlë. -... jò jidã spac - te słowa to prawie nie wërzekł, le wëzëwòł...

- Në jo, barchli ju spi... - Arden zdrzòł na niego - je òn ale głupi. Ale co to, doch téz mògã sã lëgnãc jak i òn tu spi. - Tak òn so sòdł kòl drëcha, òpiarł so głowã na jegò wiòldzim brzëchù i ùsnał.

- Tatka jesz ni ma - rzekła Rózalka do mëmczji.

- Jo, cos gò widzec strzëmac mùszało. - Rzekła to le widzec bëło, że sã baro ò chłopa jiscy. Doch nigdë tak nie bëło, zëbë òn nie wrócòł. Pòzdno to czasã bëło, le òn wiedno wrócòł. Tak i doch bë miało bëc i nã razã. Òn mò wrócëc, bëc kòl ni redowac sã ji redotã, òddichac ji lëftã, damic w jeji damienim, zëc ji zëcym. Dëszã swòjã w ji dëszë sã zatacëc. Dërchac, w słuńce zdrzec miłotë wzërajãc. Tak czësto bëc, razã... krótkò... jegò ni ma... serce bòli... jegò ni ma... ni ma...

W òczach łizë sã kùlaja, jakbë czuła to, co sã stac mùszi, jakbë ni mia

mòcë tegò strzëmac, to z ni wëchôdało, cemiznë to rodzył sã czas... czas zwątpieniô w zdanim i nôdzeji, le cemiznë czas nadchôdôł.

Chłop sedząc w swòji jómie wiedzôł, że terô nie wëlészë. Nijak to nie szło. Cãżczë plecë gniotłë jegò tacëwiskò. Robiło sã dëszno, drãgò bëło òddichac. Chłop sôdł, rozmiszlajacë. Nie wiedzôł nick, chcôł wińc, le wiedzôł, złë spròbùje chòc kãsk przepëchac to mòże zdzinac. Wiôlgò rãka w nym sztóce mòże cãżkò na nien spadnac. W jómie hòlowało òd chrapaniô, bëło to barzi bùgrowanié grzëmòtu jak chrapanié, le równak nick sã nie dało zrobic. Mùszôł òn tam sedzec i żdac, że mòże, że czedës sã jemù i ùdò z tegò wëlész... Mùszì żdac, doch wiedno nie mdą spelë.

- Ana, cëż tã tam robiła na ti plazë sama dzysò? - sptiôł sã Ādris.

- Wiész, jakòs dzywno mie bëło w tim czasie, jakbë swiat do mie wrócôł z tegò, co ùszłë bëło.

- Anka, tã ni mòżesz wiedno so damic ò swiece. Zdrzë - Ādris przëkródzył sã do ni, òbjął jã swòjim ceplim remieniã i dôł ji nã redotã, chtërna wiedno bëła dlò ni tak ceplò i bezpiecznò. Bëcé razã, le równak czë òn jã tak do kùńca rozmiôł? Czë to pò pròwdze tak bëło, czë le ji sã to zdòwało? - zdrzë... - Ādris òbùdzył jã z ji zamészleniô. - swiat naji nie brëkùje ju tegò, co bëło. Je to wòzné, le dzysò, terô më mómë le to, co mómë... tak je.

- Wiém, wiém... ale jò bë tak chca wiedzec, jak to czedës bëło... Temù jò bëła na ti plazë. Jò tam szëkała redotë i pròwdë ò swiece najim i tim dównym, zadzinionym...

I tak òstalë, zdrzacë bez òkno, szëkajacë redotë w nym òtemklim òknie i słuńcu nëkajacym òstro w dól, dzinacym w swòji czerwionoscë. Mëslë nëkałë tam dalek, w stronã mòrza... piòskù... mùszlë zatacony... Le tam dzes na sztrãdzë walë naczinãłë sã dwigac, mòrze robiło sã pòwòzné... Cos je òd westrzódka ruńcowało. Rodzył sã jaczis krãck dzëczy...

Stolëm spòł, chrapanié bëło nieùstòwné, chłop le rozmiszlòł, czë tegò to ju nie mdze kùńca? Równak mùszôł dali żdac... Ròz bëło cëszì, ròz jeden zamlaskòł, lëft pùszczòł i tak dali wkòł... le żdac za kùńcã. Nie szło tam nijak òddichac, bëło tak gòrac, że chłop bëł ju całi zmòkłi. Naròz czëc sã dało wiôldzi rëczenié, że szlòbë ògłuchnac, czëjbë nie ta jóma. Zemìa sã zrëszila, na głowã spòda mù zemìa. Stolëmë dwignãłë sã i terô sedzałë, òpierajacë sã ò na grzãpa, co dlò nich bëła le mòłim kretowiszczã ze zemi tu ùrosłi.

- Më ni mòżemë bëc razã tuwò, Arden.

- Wiém, bò jò ju na ciebie dównò zdrzec ni mògã.

- Të pùdziesz w swòjã strónã, a jò pùdã w swòjã. Tak mdze nôlepi - roz-

miszlól głośno Grunst. - Terô je czas nôlepszi rozmiejesz të to? - zdrzól na Ardena, jakbë nie wierzył, że òn pò prôwdze to mòże mészłëc. - Widzã, że të tegò nigdë nie zrozumiejesz.

- Wrrraaagh!!!... - zôs szło rëczenié pò lasach i rzmach. Arden miól w se mòc wiôlgã i nie tak letkò szło gò ùcészec, czej bël rozgòrzonny... - të mie ni mùszisz tegò wkól pòwiôdac, bò jô to wszët看 wiém, zanim të to pòmészisz.

- Bãdzész të cëchò! Twòje rëczenié tu nikòmù do nicze brëkòwné nie je! Gòdóm czësto prosto: Jidzë so w jednã stronã, tej jô pùdã w drëgã. A czej jesz rôz ce w zëcym pòtkóm, to jeden z naju dwùch ju nigdë nie wstónie. Rozmiejesz të to???

- Niech mdze tak jak të gòdòsz, ten rôz jô cë prôwdã òddóm. Pamiãtòj, żebës mie sã wiãcy na òczë nie pòkòzòł, bò to mdze z tobã czësto lëchò. Pamiãtòj. Sóm jes tegò chcòł.

Stojelë terò naprocëm siebie, jakbë nie dowierzëlë sobie i swòjim słowóm, le równak co so ùdbelë, mùszelë zrobic. Òczë bëlë rozgòrzoné, strachù w nich nijak nie bëło, le nen sóm apartny gòrz, bùcha i ùpiartosc...

- Mëmkkò, jô móm strach... - rzekła Ròzalka reno, czej słuńce wësok na niebie stajało. - Dze je tatki?

- Jô pò prôwdze nie wiém...

- Jô pùdã na dwór, òbòczã.

- Jidzkëj tej, le nie jidzë za dalek, bò mòże tatki zarò wrócy. Jak spòł dze w nocë, to mòże zarò i przinć.

- Jo, jo mëmkkò...

Ròzalka wëszała chùtkò bùten. Na niebie bëło tej słuńce, le cos sã na niebie robiło dzywno mòdro... Dzëwczã szło prosto tam, dze wiedno. Stanãła kòł ny strudzi i rozmészlała... Wëchòdzëła tam kòzdegò dnia, reno... Mijòł dzëni za dniã, tatka nie bëło. Mijòł tidzëni za tigòdnia, miesãc zminãł, jeden i drëdzi. Swiat nëkòł òszalali, òstawiającë za sobã ból i cëpienié kòzdegò dnia i gòdzënë. Teskniãczka rosła... òjca nie bëło.

- Cëz to je tam tak dalek? - mészłól Grunst, zdrzącë prosto pòd słuńce. Jô ju doch dzes cos taczëgò miól widzóné. Tak rozmiszlajãcë szedł w nym czerënkù.

- Ana? Czëła të to? - Ādris wërãzno przestraszony wnëkòł w jizbã. - Cos trzasło w chòjince. Jô tak cos, jesz nigdë ni miól czëté.

- Jo, jô to czëła. Jô ju mészlała, że të tam gðze bël. - Całò dërgòcãcò wtulëła sã w niego. - Jô móm strach, Ādris.

- Nie bòj sã, jô tam pùdã, mùszã òbòczëc co sã stało.

- Nie jidzë, nie òstawiôj mie tak tu terô.

- Doch òna tu bëła? Doch jô jã tuwò widzôł. A mòże to bëło jesz dali? - Grunst sadnął na zemia i dzywno mù bëło, że cos mòże bëc a pòzdni tak zdzi-  
nąc, jakbë to bëło mòżno? - Kò jezłë cos je to i mùszi bëc. Doch pòd zemiã sã  
nie zapadła... Mùszã sã copnąc nazòd, skądka jô jã widzôł, tej mòże i zòs sã mie  
pòkòże.

Tak sã wzał i szedł nazòd, w mëslach zatacony, në bò jak to bëło mòżno...  
Pòstãpnégò dnia zòs jã ùzdrzôł! Terô ju długò nie zdòł, lecòł jak le chùtkò roz-  
miòł prosto. Czej ju bël czësto krótkò, stanął i zdrzôł wprzòdk, jakbë smierc  
przed nim bëła. To nie bëło mòżno... Przed nim stojòł... Arden.

- Wrrraaagh!!! - Grunst znòł to rëczenië i wiedzòł, że terô nie mdze tak  
letkò. Arden nie òdpusczy. - Stało sã! Terô jes tu gdzie i jô jem! Naju je dwóch,  
a le jeden tu òstac mùszi. - Òczë mù sã szklëłë òd gòrzu.

- Mòżesz so gòdac co tã chcesz, le jô jem tim co tuwò òstónie - bùszno  
òdrzekł Grunst.

- Na zemi...!!! - z tima słowama Arden lécòł ju w czerënkù òlbrzima.

- Stój! Zdrzë! - wskòzòł Grunst wësok na rzmã. - To òna!

Ròzalka sedzała na gòrze zdrzãcë w dól na ne dwa pòstacëje. Kòmùdno ji  
bëło, tak ze strach ni miòł do ni przëstãpù. Wiedzała, że i òni na nią zdrzã. Wie-  
dzała, że jezłë tu òstanie to i ją złapiã. Mùszała sã zatacëc.

- Tam je, tam wësła! Tam jô jã widzôł!

- Nié, tam bëła! Zòs zdzinãła pòd zemiã.

- Cëz tã robisz?! - rëczòł Arden - Za czim ti grzebiesz w ny zemi?

- Doch tu òna mùsza sã schòwac. Jednégò jô ju czedës nalòzł, to i drëdzégò  
nalëzã! - Grunst widzec bëło nie chcòł òddac nikòmù swòjégò skarbù.

- To nijak nie bëło to le tam! - Arden naczał grzebac letkò z drëdzi stronë.

- Nie drapie ti zemi, le wezze to rozkòp jak sã nòlezi! Chùtkò, bò jesz głãbi  
wlëzë!

- Mdzë sztël, jak skuńczã, tej sã weznã za ciebie. Weznã wszëtkò!

- Ādris, Ādris! Dze tã jes?!

Zrobiło sã czòrnò, wiater nêkòł rozszalałi, òdżin pòlił z kòzdi stronë, biòli,  
wërazny i nen glëchi trzòsk, jakbë chcòł zerwac wszëtkò i wzac ze sobã, bë  
nie òddac, bë znikwic, rozwalëc, zdruzgòtac. Trzòsk spòdajacégò dakù. Swiat  
dżinał, diòbël rozszalałi nêkòł, ògònã zamiòtòł, nikwił, gòrz pòkòzywòł, czasu  
miòł mało, le ta noc mù òstała, czej kùròn zapieje sã skuńczy. Jesz przëložã,  
jesz wërwiã, pòlómniã, zniszczã, rozerwiã, wërwiã, chwëcã i szmërgnã... Drzewò

pãkò jak drzòzga w piéckù. Jedno, drëdżé, trzecé... dżinie swiat, chtërnégò nie pòstawił.

Kùrón zapiól...

Swiat znikwiony. Ana biegnie i krzìkò:

- Ādris! Ādris! Dze jes...

Na rzmie

zakwitłë

prolëszczy...



**Do druku przygotowała**  
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU  
[www.biblioteka.lebork.pl](http://www.biblioteka.lebork.pl)

Rysunki  
Aleksandra Warmbier

ISBN 978-83-60731-24-6

**Wydano nakładem:**

Miasta Lęborka

Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku  
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

**Projekt składu i druk**

DRUKARNIA BOXPOL

ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk

tel./fax 59 842 43 71

e-mail [boxpol@post.pl](mailto:boxpol@post.pl)

[www.boxpol.pl](http://www.boxpol.pl)

